

CZY POPULARNY LEK NA CUKRZYCĘ MOŻE POWODOWAĆ RAKA?

KWARTALNIK



**NASZA
POLSKA**

NR 4/2020 (1)

MICHALKIEWICZ || PŁUŻAŃSKI || ECKARDT || CEJROWSKI || BĄKIEWICZ
LACHOWICZ || JAROMIN || KWIATKOWSKI || KACZAN || JOT
SANOCKI || SKUTECKI || TARGAŃSKA

Jak powinien głosować patriota?

Czego nie da sobie
wbić w tyłek
Wojciech
Cejrowski?



John Adkins

**IDIOTS
LIARS
PSYCHOS**
and Me



**PAKIET
MIESIĄCA**

149 zł

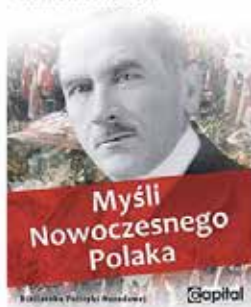


ROMAN DMOWSKI

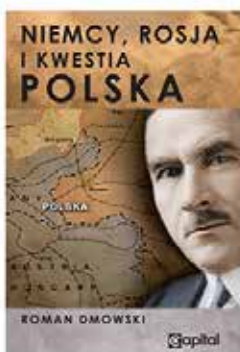
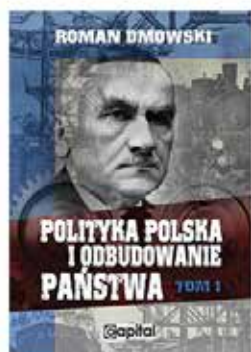
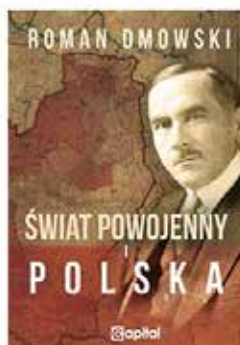
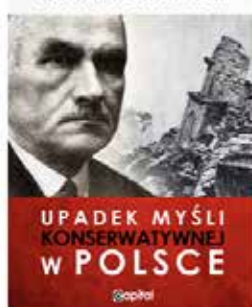
1864-1939

TRZEBA ŚWIAT ZNAĆ I ROZUMIEĆ,
A ŻYCIE SAMEMU URABIAĆ
WEDŁUG WŁASNYCH WYMAGAŃ.

Roman Dmowski



Roman Dmowski



**15 % ZNIŻKI NA WSZYSTKIE DZIEŁA
OD 2 DO 9 STYCZNIA**



HTTP://SKLEP.NASZAPOLSKA.PL

Nasza Polska - kwartalnik

Wydawca: Fundacja Będziem Polakami

Kontakt: redakcja@naszapolska.pl Tel. 888-328-546

Adres korespondencyjny: Fundacja Będziem Polakami, ul. Podhalańska 3, 85-132 Bydgoszcz

Portal z natury rzeczy jest tymczasowy. To niczym średniowieczne opowieści snute w przydrożnych zajazdach: żyją tyle, ile w drganie gęstego od dymu i emocji powietrza nad stołem. Internet dał nam przestrzeń i możliwości, ale zabrał trwałość. Informacje stały się niusami, a analizy – ledwo opiniami.

Portal NaszaPolska.pl jest jednak czymś zdecydowanie więcej niż tylko hubem informacyjnym, to również źródło publicystyki – wywiadów, analiz, felietonów, pogłębionych refleksji nad światem, życiem i kondycją dzisiejszego człowieka myślącego.

Z tych właśnie powodów zdecydowaliśmy się na uwiecznienie najbardziej uniwersalnych tekstów publikowanych na łamach portalu w formie kwartalnika dostępnego dla czytelników – jakżeby inaczej – online oraz w wersji klasycznej, papierowej.

W imieniu Redakcji,
zapraszam do lektury!
Paweł Skutecki

TEMAT Z OKŁADKI: CO MINISTER UKRYWA PRZEZ POLSKIMI PACJENTAMI?	4
KONTAKTY W CZASACH ZARAZY	6
ROZMOWA NASZEJ POLSKI: OKIEM PRAWNIKA	7
GORĄCZKA ODEBRAŁA ROZUM?	8
RADNY PiS ODDAŁ POŁOWĘ DIETY	10
GUNNAR LINDEMANN OSTRZEGA	11
PATRIOTA NIE MOŻE GŁOSOWAĆ NA TRZASKOWSKIEGO. ROZMOWA Z ROBERTEM BĄKIEWICZEM	12
CZEGO NIE DA SOBIE WBIĆ W TYŁEK WOJCIECH CEJROWSKI	13
POLSKIE SĄDY RODZINNE? IDIOCI, KŁAMCY, PSYCHOLE	14
MIAŁA SIĘ NIE URODZIĆ. ROZMOWA Z IŁONĄ LACHOWICZ	16
JESTEŚ PIĘKNA. ROZMOWA Z ALEKSANDRĄ JAROMIN	18
DRAGANA TRIFKOVIĆ O SYTUACJI W SERBII	19
ROZMOWA LUDOBÓJSTWA W BOŚNI	20
CZY ISTNIEJE IDEOLOGIA LGBT? FELIETON KAROLA KWIATKOWSKIEGO	21
LATAJĄCA MAMA. ROZMOWA Z MAGDALENĄ KOTOWICZ	22
SZCZEPHENIA NA PŁASKIEJ ZIEMI. FELIETON BOGDANA JOT	24
PAN BÓG MA WCIĄŻ BARDZO DOBRY SŁUCH. FELIETON BARBARY GĄSIOR-CHRZAN	25
RZECZPOSPOLITA DZIADOWSKA. FELIETON DAMIANA KACZANA	26
PUBLICZNE, CZY PRYWATNE? FELIETON DAMIANA KACZANA	27
JAŚ, MAŁGOSIA I LESBIJKA BABA JAGA. FELIETON JANUSZA SANOCKIEGO	28
DEMOKRACJA BEZOBJAWOWA. FELIETON JANUSZA SANOCKIEGO	28
POLSKA ZJEDNOCZONA KLASA POLITYCZNA. FELIETON JANUSZA SANOCKIEGO	29
MORDOBICIE „RUSKICH ONUC”. FELIETON MACIEJA ECKARDTA	30
NA SZCZĘŚCIE BĘDZIE JESZCZE GORZEJ. FELIETON MACIEJA ECKARDTA	31
WALKA O HONOR EUROPY. FELIETON PAWŁA SKUTECKIEGO	32
NOWY APARTHEID. FELIETON PAWŁA SKUTECKIEGO	33
PO CZYJEJ STRONIE JEST PAN BÓG? FELIETON STANISŁAWA MICHALKIEWICZA	34
SPÓR O RÓŻNICĘ ŁAJDACTWA. FELIETON STANISŁAWA MICHALKIEWICZA	35
PRL TO NIE CZARNA DZIURA. FELIETON TADEUSZA M. PŁUŻAŃSKIEGO	36
„CWANE TE KOBITKI”. FELIETON KAROLA KWIATKOWSKIEGO	38

Co minister ukrywa przed polskimi pacjentami?!

OD OKOŁO DWÓCH LAT ZNANY JEST NA ŚWIECIE PROBLEM ZANIECZYSZCZEŃ LEKÓW NITROZOAMINAMI. W OSTATNICH TYGODNIACH UBIEGŁEGO ROKU WYBUCHŁA BOMBA: ZANIECZYSZCZENIE ODKRYTO W METFORMINIE, KTÓRĄ ZAŻYWA OKOŁO DWA MILIONA POLSKICH CUKRZYKÓW. MINISTER ZDROWIA NIE ZROBIŁ Z TYM DO DZISIAJ NIC. PODOBNIIE JAK EUROPEJSKA AGENCJA LEKÓW (EMA) BIERNIE SIĘ PRZYGLĄDA Z PEŁNĄ ŚWIADOMOŚCIĄ, ŻE Z DUŻYM PRAWDOPODOBIENSTWEM WIELE OSÓB BĘDZIE MUSIAŁO ZMIERZYĆ SIĘ Z NOWOTWOREM, BĘDĄCYM EFEKTEM ŁYKANIA SKAŻONYCH LEKÓW.

Późnym latem ubiegłego roku producenci leków zostali zobligowani przez Europejską Agencję Leków do przeprowadzenia analizy ryzyka wystąpienia zanieczyszczenia nitrozoaminami w swoich lekach. Chodziło o samą analizę ryzyka. W Polsce odpowiedzialny za bezpieczeństwo farmaceutyczne Urząd Rejestracji Produktów Leczniczych nie zrobił na własną rękę nic – przekazał tylko podmiotom odpowiedzialnym odpowiednie adresy do założeń EMA.

Formalnie producenci 26 września 2019 roku dostali polecenie, żeby w ciągu sześciu miesięcy oszacować ryzyko. Nie zrobili tego do dzisiaj i mają czas do... października. Ale o tym później.

NITROZOAMINY NA CELOWNIKU

W całej Europie wycofano już kilkadziesiąt leków zanieczyszczonych nitrozoaminami, głównie NDMA. Wśród nich były tak popularne również w Polsce leki jak Riflux, Ranigast, Ranic czy Solvetyl. Wszystkie one miały dwie cechy wspólne: substancję czynną (ranitydynę) i... N-nitrozodimetylenoaminę (NDMA). Inną substancją czynną, w której odkryto zanieczyszczenie był pioglitazon.

Wcześniej zanieczyszczenie dotyczyło głównie sartany – walsartan zanieczyszczony nitrozoaminą (tym razem N-nitrozodietylaminą, NDEA) został wykryty w w lekach, do produkcji



których użyto walsartan z indyjskich laboratoriów Mylan. Walsartan – używany w leczeniu nadciśnienia tętniczego, niedawnego zawału serca i niewydolności serca – został zabroniony w całej Europie.

SĄ WSZĘDZIE

Nitrozoaminy są ponoć wszędzie, także w żywności i w wodzie pitnej. A. Ciemniak zbadał zawartość tej substancji w mięsie i opublikował wyniki badań w Roczniku PZH 2006. Wyniki były takie, że w praktycznie w każdym rodzaju mięsa znajdowała się pewna ilość NDMA: od 0,049 ng/kg w bloku śniadaniowym do 16,46 ng/kg w kiełbasie polskiej wędzonej. W artykule dr. Waldemara Zielińskiego na temat nitrozoamin (na portalu farmacja.praktyczna.pl) czytamy, że „Dobowe narażenie na NDMA w diecie kształtuje się różnie w poszczególnych krajach. W Finlandii oszacowano je w 2008 r. na 80 ng/dobę, a w Japonii na 1800 ng/dobę. Przeciętne spożycie NDMA wynosi od 100 do 1100 ng/dobę”.

W Europie nie ma określonych maksymalnych dopuszczalnych limitów dla N-nitrozoamin w produktach spożywczych. W USA obowiązuje limit 10 000 ng/kg dla wędlin, w Chinach 4000 dla ryb, a najostre granice stawiają Białoruś, Kazachstan i Rosja – 2000-4000 ng/kg.

Ile było nitrozoamin w sartaanach? Nawet 860 ng w jednej tabletki. Wówczas EMA opracowała tymczasowe limity dobowego spożycia poszczególnych nitrozoamin. Najbardziej nas interesują spożycia NDMA – 96 ng/dobę i NDEA – 26,5 ng/dobę.

Na początku marca amerykańska organizacja Valisure ogłosiła wyniki własnych badań przeprowadzonych na metforminie. Na 38 próbek w 16 poziomach NDMA przekraczał dopuszczalne 96 ng, a w kilku normy były przekroczone ponad dziesięciokrotnie. Biorąc pod uwagę producentów, to na 22 dokładnie połowa miała na rynku skażoną metforminę.

JAK BARDZO SZKODZI?

Europejska Agencja Leków ogłosiła, że 30 osób na każde 100 tysięcy, które w ostatnich latach przyjmowały leki z walsartanem w maksymalnej dopuszczalnej dawce, zachoruje na raka. W Polsce łącznie przyjmowało je kilkaset tysięcy osób. Ile w maksymalnej dawce? Tego się nie dowiemy już nigdy. Problem dotyczył jednej chińskiej fabryki Zheijiang Huahai. Okazało się, że na polskim rynku było około pięćdziesiąt leków kilkunastu producentów zawierających substancję pochodzącą z tej właśnie fabryki. Zanieczyszczone okazały się liczne sartany – candesartan, irbesartan, losartan, olmesartan...

Nitrozoaminy znane są od wielu dziesiątek lat jako substancje kancerogenne. Najbardziej niebezpieczna jest NDMA – kancerogenna, mutagenna i teratogenna. Właśnie ona służy naukowcom do kontrolowanego wywoływania nowotworów u gryzoni laboratoryjnych. W wodzie pitnej stężenie NDMA nie powinno być wyższe niż 0,7 ng/litr.

METFORMINA I WIELKIE BUM

W ostatnich tygodniach ubiegłego roku wybuchła w całej Europie bomba – przyjmowana przez około dwa miliony polskich cukrzyków metformina jest skażona NDMA. Pierwszy zabrał wówczas głos wiceminister zdrowia Janusz Cieszyński. – Obecnie nie mamy informacji, aby leki z metformin na cukrzycę zagrażały życiu i zdrowiu pacjentów – mówił podczas konferencji prasowej. Tej samej, na której pierwszy raz tak jednoznacznie polski rząd schował się za plecami Europejskiej Agencji Leków.

Zapadła wówczas decyzja: nic nie robić, czekać. Bo przecież wciąż obowiązywało wrześnie zobowiązanie producentów do przeprowadzenia własnych analiz i złożenia samokrytyki, gdyby coś się tam znalazło. Termin upływał w marcu. Trzy miesiące ministerstwo chciało się jakoś przemknąć przyklejone do ściany, ale... z powodu epidemii Europejska Agencja Leków przedłużyła termin składania sprawozdań z przeprowadzenia analizy ryzyka wystąpienia zanieczyszczeń do 1 października 2020 roku.

CO W TEJ SYTUACJI ROBI POLSKI RZĄD?

Dwa miliony Polaków bierze regularnie lek, który jest zanieczyszczony kancerogenną substancją. Wiemy to nieoficjalnie, bo oficjalnie producent nie złożył jeszcze sprawozdania, a ministerstwo do posiadania własnych badań nie chce się przyznać odsyłając nas do Urzędu Rejestracji Produktów Leczniczych, URPL odsyła nas do Głównego Inspektora Farmaceutycznego, a GIF odsyła nas do ministerstwa.

Tymczasem badanie metforminy obecnej na polskim rynku w styczniu Narodowemu Instytutowi Leków zlecił Główny Inspektor Farmaceutyczny. Badanie zostało utajnione. Dlaczego? Wciąż czekamy na odpowiedź.

Dla jasności: 21 kwietnia wysłaliśmy pytania do Ministra Zdrowia (a potem do GIF, URPL i znowu do ministra). Chcieliśmy wiedzieć, czy zostały w Polsce przeprowadzone badania metforminy (wiemy, że tak), kto je przeprowadził (wiemy, że NIL) i jakie były ich wyniki (czekają na tę informację DWA MILIONY Polaków).

Paweł Skutecki

Wyjaśnienia, które jesteśmy winni naszym Czytelnikom.

Od opublikowania w kwietniu 2020 roku powyższego tekstu, zmieniło się wiele. Odszedł Główny Inspektor Farmaceutyczny, Główny Inspektor Sanitarny, Minister Zdrowia i wielu bardzo ważnych urzędników odpowiedzialnych za polski system ochrony zdrowia.

Jedna rzecz się nie zmieniła: wyniki badania o którym piszemy powyżej, wciąż są utajnione przed polskimi pacjentami.

Przed Wojewódzkim Sądzie Administracyjnym w Warszawie autor artykułu domaga się ujawnienia wyników badań metforminy. Polscy cukrzycy mają prawo je znać. Sprawa dotyczy dwóch milionów osób.

Będziemy informować o wynikach dziennikarskiego śledztwa na łamach portalu NaszaPolska.pl.

„Kontakty” w czasach zarazy

STACJA TVN24 WYEMITOWAŁA PROGRAM PT. KORONAWIRUS – RAPORT. W PROGRAMIE TYM MOŻNA BYŁO USŁYSZEĆ, ŻE: „PANDEMIA KORONAWIRUSA MOŻE BYĆ POWODEM OGRANICZENIA KONTAKTÓW RODZICA Z DZIECKIEM. GDY MATKA I OJCIEC NIE WYCHOWUJĄ POTOMSTWA RAZEM, DZIECKO MIESZKA NA CO DZIĘĆ NA PRZYKŁAD Z MATKĄ, TO TA MOŻE ODMÓWIĆ OJCU ZABRANIA GO Z DOMU. TAKA OSTROŻNOŚĆ JEST ZROZUMIAŁA” – POWIEDZIAŁA PRAWNIK MAŁGORZATA SUPERA.

Temat jest ogromnie istotny, bo według statystyk w Polsce każdego roku rozwodzi się około 70 tys. małżeństw. Ile rozstaje się par nieformalnych, posiadających wspólne dziecko lub dzieci, tego nie wie dokładnie nikt. W bardzo dużej liczbie rozstań towarzyszą sądowno regulowane zasady kontaktu obojga rodziców z dzieckiem. Oczywiście dotyczy to przede wszystkim tego rodzica, u którego dziecko nie mieszka. Drugiego rodzica – jak to zwykle jest on nazywany. Sądy przyznają wówczas tak zwane kontakty: ustalają w jakie dni, godziny i w jakich okolicznościach dziecko ma się spotykać z tym rodzicem, zwykle ojcem.

– Pandemia może być podstawą ograniczenia takich kontaktów – uważa adwokat Małgorzata Supera, która od lat od strony prawnej zajmuje się sprawami rodzinnymi. – To jest sytuacja specjalna – dodaje.

– Mówimy o tym, że mamy zostać w domu. Wszyscy, w tym dzieci. Wszystkie szkoły, przedszkola, żłobki zostały zamknięte po to, żeby dzieci nie roznosiły wirusa, wobec czego, logicznie myśląc: zabieranie dziecka z miejsca zamieszkania w inne miejsce, jest niezgodne z tymi regułami – argumentuje Małgorzata Supera i radzi, aby w takim przypadku matka zaproponowała ojcu kontakt z dzieckiem u niej w domu. – Oczywiście jest pytanie, czy ojciec nie był właśnie za granicą, albo czy miał kontakt z osobą zakażoną – zaznacza prawniczka.

Na stronie internetowej rządu nie ma ani słowa o ograniczaniu kontaktów, a wręcz przeciwnie – jest stwierdzenie, że nowe ograniczenia nie dotyczą opieki nad bliskimi. Kontakty te dodatkowo, oprócz orzeczeń sądu, gwarantuje art. 113 KRiO, który kategorycznie stwierdza, że niezależnie od władzy rodzicielskiej rodzice oraz ich dziecko mają prawo i obowiązek utrzymywania ze sobą kontaktów oraz że kontakty z dzieckiem obejmują w szczególności przebywanie z dzieckiem (odwiedziny, spotkania, zabieranie dziecka poza miejsce jego stałego pobytu) i bezpośrednie porozumiewanie się, utrzymywanie korespondencji, korzystanie z innych środków porozumiewania się na odległość, w tym ze środków komunikacji elektronicznej.

Wątpliwości mają sami rodzice. – Czy pani mecenas nie nadinterpretuje prawa i nie namawia do zakamuflowanej alienacji rodzicielskiej? Czy nie jest ta wypowiedź nawoływaniem do przemocy ograniczania kontaktu z bliskimi? Nie możemy postać obojętni na zachęcanie do krzywdzenia dzieci, poprzez ograniczenie im kontaktu z jednym z rodziców nawet w czasach epidemii – czytamy na forach.

Ministerstwo Sprawiedliwości: „OGRANICZANIE KONTAKTU dziecka z rodzicem to PRZEMOC na równi z biciem, kopaniem, duszeniem, popychaniem, policzkowaniem, wyśmiewaniem, poddawaniu stałej krytyce, niszczeniu mienia i rzeczy osobistych”.

Pamiętajmy, że każdy normalny rodzic stawia dobro swojego dziecka na pierwszym miejscu. Zdrowy rozsądek, wyczuwanie na dobro dziecka, odrobina empatii i higiena, to najlepszy przepis na przetrwanie tego trudnego okresu we wszystkich relacjach – nie tylko rodzicielskich – mówi Anna Rejmer.



Emocje tonuje Anna Rejmer, psycholog zajmująca się między innymi alienacją rodzicielską. – Czas epidemii jest momentem ogromnego kryzysu. Powinniśmy pamiętać, że jesteśmy odpowiedzialni nie tylko za siebie, swoich najbliższych ale także za społeczeństwo. Dla wyższego dobra jakim jest nasze zdrowie i bezpieczeństwo w większości zgadzamy się na ograniczenie w całkiem znacznym stopniu naszej wolności – oczywiście na ten tylko konkretny czas. Zasady te, dla wszystkich rozsądnie myślących i odpowiedzialnych ludzi, w sposób oczywisty powinny przekładać się na prawa dzieci i rodziców w sytuacji, kiedy rodzice nie są razem. Oczywiście prawo do kontaktów z dzieckiem / rodzicem jest jednym z podstawowych praw. W obecnej sytuacji jednak nie podkreślałabym nastrojów społecznych w tym temacie, a raczej zachęcała do konstruktywnej rozmowy rodziców. Rozmowy „na argumenty”, a nie „na racje”. Jeżeli kontakt z dzieckiem postawimy na pierwszym miejscu – a więc jego dobro, to spotkanie w miejscu zamieszkania naszej pociechy w tym trudnym okresie nie jest złym rozwiązaniem. Z drugiej jednak strony, jeśli mamy pewność, że drugi rodzic w należyty sposób zabezpieczy dziecko w drodze jak również w swoim domu i nie narazi go na ryzykowne kontakty i sytuacje, to nie róbmy problemu – tłumaczy Anna Rejmer.

Obecnie sądy rodzinne praktycznie przestały funkcjonować. Tym więcej zależy od zdrowego rozsądku samych rodziców, dla których „dobro dziecka” nie powinno być tylko pustym sloganem. Dajmy dzieciom przeżyć ten trudny, wyjątkowy czas w sposób możliwie najmniej bolesny.

Karol Kwiatkowski

– W MOJEJ OCENIE ZMIANY TARCZY ANTYKRYZYSOWEJ POWINNY PRZED WSZYSTKIM SŁUżyć POPRAWIE PŁYNNOSCI FINANSOWEJ PRZEDSIĘBIORSTW, ZABEZPIECZENIU MIEJSC PRACY ORAZ ZAPEWNIENIA ŚRODKÓW DO ŻYCIA OSOBOM POZOSTAJĄCYM BEZ PRACY. TAKIM ROZWIĄZANIOM MOGŁOBY SŁUżyć ZWOLNIENIE PRZEDSIĘBIORCÓW ZE WSZELKICH DANIN PUBLICZNYCH



Okiem prawnika

SEJM PRZYJĄŁ TARCZĘ ANTYKRYZYSOWĄ, A PREZYDENT JĄ PODPISAL. MY ZAPYTALIŚMY SPECJALISTĘ – ADWOKATA, MEDIATORA MATEUSZA GAWŁASĄ, KTÓRY PROWADZI KANCELARIĘ SPECJALIZUJĄCĄ SIĘ W OBROŃ DŁUŻNIKÓW PRZED FIRMAMI WINDYKACYJNYMI I POŻYCZKOWYMI, BANKAMI, TOWARZYSTWAMI UBEZPIECZENIOWYMI, JAK TO WYGLĄDA W PRAKTYCE.

– **Jak ocenia Pan tarczę, którą podpisał Prezydent? Czy to realna pomoc?**

– Czy pomoc okaże się realna dowiemy się najwcześniej za miesiąc, a w praktyce ok. czerwca br. Dla pewnej grupy przedsiębiorców (zatrudniających mniej niż 9 pracowników lub płacących składki ZUS tylko za siebie) rozwiązania przewidziane w tarczy mogą okazać się trafione, dla innych (średnich i dużych firm) pomoc wydaje się jedynie iluzoryczna.

Za dobre rozwiązanie należy potraktować możliwość odliczenia straty spowodowanej ograniczeniami w związku z COVID – 19 w rozliczeniu za rok 2019.

Natomiast w żaden sposób nie poprawi sytuacji przedsiębiorców odroczenia zapłaty podatku od wynagrodzeń pracowników (PIT-4), czy też odroczenie lub rozłożenie na raty płatności podatków VAT i PIT.

Pewne rozwiązania w kwestii zatrudniania i wynagradzania pracowników dają przedsiębiorcom zapisy o postoiu ekonomicznym, czy dofinansowaniu do płacy minimalnej. Jednakże już teraz wiemy, że nie uda się utrzymać miejsc pracy na satysfakcjonującym poziomie.

Pewien obraz działania tarczy antykryzysowej dają ogólnie dostępne statystyki, z których wynika, że tylko w ostatnim tygodniu ponad 15 tys. firm zawiesiło swoją działalność. Rozwiązania przewidziane w tarczy były już znane przed jej formalnym wprowadzeniem, a pomimo tego tak znaczna liczba firm wycofuje się z aktywnego prowadzenia biznesu. Oceniam, że ta tendencja będzie się w najbliższym czasie niestety się pogłębiać.

– **Czy 2000 zł jednorazowej pomocy coś zmieni?**

– Jednorazowe wsparcie, a zwłaszcza w zaproponowanej kwocie, pozostanie bez wpływu na sytuację osób zmagających się z problemami finansowymi. Realna pomoc wymaga rozwiązania systemowego, przewidującego określony czas trwania, według mnie minimum 3 miesiące. Dopiero zapewnienie okresowego wsparcia daje możliwość planowania i przetrzymania tej niezwykle trudnej dla wielu firm sytuacji.

– **Jakie zmiany wg Pana powinny być wprowadzone, aby ułatwić życie pracowników i pracodawców w tym trudnym okresie?**

– W mojej ocenie zmiany tarczy antykryzysowej powinny przede wszystkim służyć poprawie płynności finansowej przedsiębiorstw, zabezpieczeniu miejsc pracy oraz zapewnienia środków do życia osobom pozostającym bez pracy. Takim rozwiązaniom mogłoby służyć zwolnienie przedsiębiorców ze wszelkich danin publicznych, w tym przede wszystkim podatków, nie tylko składek ZUS na okres do 6 m-cy, uwolnienie środków pieniężnych zgromadzonych na kontach VAT i przyspieszenie zwrotów podatków, realne dofinansowanie wynagrodzeń pracowników dla utrzymania miejsc pracy czy w końcu, zwiększenie zasiłku dla bezrobotnych. W wymiarze sprawiedliwości zaś należałoby jak najszybciej wprowadzić możliwość elektronicznego obiegu pism pomiędzy sądami, a pełnomocnikami stron oraz prowadzenie posiedzeń za pośrednictwem środków porozumiewania się na odległość.

– **Czy jest konieczna nowelizacja ustawy umożliwiająca szybszą ścieżkę upadłości?**

– W mojej ocenie nie ma potrzeby kolejnej zmiany prawa upadłościowego, pomimo coraz trudniejszej sytuacji majątkowej przedsiębiorców i osób fizycznych, wywołanej pandemią. Ewentualnego przyspieszenia ścieżki upadłości upatrywałbym za to w szybszym rozpoznawaniu przez sądy wniosków o ogłoszenie upadłości. Chodzi zwłaszcza o wnioski, składane przez osoby fizyczne oraz uproszczenie formularzy składanych w toku postępowania. Często osoby rezygnują ze złożenia wniosku o upadłość, bo wydaje się on być dla nich zbyt skomplikowany. Istotne jest też, aby czas potrzebny do wydania przez sąd postanowienia o ogłoszeniu upadłości nie był zbyt odległy.

Pamiętajmy, że obecnie przedsiębiorcy mogą skorzystać z rozwiązań, jakie daje im ustawa Prawo restrukturyzacyjne. Mam tu na myśli uniknięcie ogłoszenia upadłości dłużnika przez umożliwienie mu restrukturyzacji, między innymi na drodze zawarcia układu z wierzycielami, a w przypadku postępowania sanacyjnego – również przez przeprowadzenie działań sanacyjnych, przy zabezpieczeniu słusznych praw wierzycieli.

Niestety z mojej praktyki wynika, iż niewielu z przedsiębiorców ma świadomość istnienia rozwiązań przewidzianych w tej ustawie i często popadają w jeszcze większe problemy finansowe skutkujące koniecznością ogłoszenia upadłości.

Gorączka odebrała rozum?

NAUCZYCIELE SKARŻĄ SIĘ, ŻE JUŻ PIERWSZEGO DNIA ZDALNEGO NAUCZANIA PADŁ LIBRUS, VULCAN, MICROSOFT TEAMS... A MESSENGER I FACEBOOK OD RANA LEDWO ZIPAŁ... BO JAK POPRZEDNIE NARZĘDZIA ZAWIODŁY, TO NAUCZYCIELE PRÓBOWALI I TYMI SPOSOBAMI UDOWODNIĆ, ŻE PRACUJĄ...

Leżę więc sobie w łóżku, łykam grzecznie antybiotyki, spijam syropki i ciepłe herbatki, przeglądam profile zaprzyjaźnionych nauczycieli i tak sobie myślę, że to jakieś szaleństwo zmuszać dzieci, nauczycieli i coraz mocniej przeciążonych i w wielu przypadkach również pracujących zdalnie rodziców do brania udziału w tym cyrku...

Myślę sobie, że przedstawiając założenia tej ustawy nikt nie zastanawiał się jak mają zrealizować zdalne nauczanie dzieci z placówek opiekuńczo – wychowawczych, dzieci z rodzinnych domów dziecka, których nie stać na zakup komputera i stałego łącza, które wytrzymałby pracę kilkunastu, czasem kilkudziesięciu osób jednocześnie... Placówek, które podczas kwarantanny nie zakupią każdemu dziecku smartfona z dostępem do internetu...

Myślę o rodzicach dzieci z niepełnosprawnością intelektualną, którzy również mają obniżone możliwości intelektualne, o babciach samotnie wychowujących wnuczki, które stały się dla nich rodziną zastępczą po różnych przykrych wydarzeniach rodzinnych.

Myślę o miejscach, w których nawet GPS traci swój zasięg i nie można sobie udostępnić hotspota... bo nie ma czego udostępnić... Myślę o tych miejscowościach, w których kiedyś prowadziłam szkolenia rad pedagogicznych... i o chwilach kiedy z przerażeniem odkryłam, że tam nic nie działa, niczego nie ma... Zostają tradycyjne metody nauczania...

Myślę o tych wszystkich ludziach, bo potrafię wczuć się w ich położenie. Czy ktoś w MEN myśli?

92 % szkół miało być przygotowanych do zdalnego nauczania... Na podstawie jakich danych powstał ten wniosek? Dziś widzimy, że dobrymi chęciami jest piekło wybrukowane. W takim razie te 92 % placówek jest przygotowanych do czego? Do udawania, że to, co teraz robią ma sens? NIE MA!!! Absolutnie żadnego!

Nauczyciele bojąc się o swoje wynagrodzenia, słysząc ministerialne słowa „otuchy”, żeby pokazali, że nie tylko potrafią strajkować, będą robili wszystko co w ich mocy, by udowodnić, że na te pieniądze zasługują...

Rodzice, którzy mają więcej niż jedno dziecko i sami zostali zobowiązani do pracy zdalnej, będą wściekać się na ilość materiału zadanego do realizacji, brak możliwości pogodzenia wszystkich obowiązków, wytchnienia i odpoczynku.

Dzieci, które mają pecha urodzić się w rodzinach dysfunkcyjnych, biednych, które straciły wcześniej swoich rodziców znów dostaną lekcję od życia, a w zasadzie od MEN, pokazującą, że lepszym zawsze będzie lepiej, a one zawsze będą miały pod górę.

Nierówności społeczne pogłębią się jeszcze bardziej, gdy dojdzie do egzaminów 8 klasisty i maturalnych... Jak przygotować ma się do tych egzaminów samodzielnie młody człowiek mieszkający w rodzinie z problemem alkoholowym, mający rodziców niepełnosprawnych intelektualnie, dysfunkcyjnych, kiedy problemem jest już samo odizolowanie społeczne i konieczność

wytrzymania w domu rodzinnym? Jak silną wolą będzie musiał wykazać się ten, którego rodzice piją i biją się każdego dnia, a nauczyciel organizuje webinar i każe uruchomić kamerę obnażającą całe jego domowe nieszczęście przed kolegami z klasy?

A co ma zrobić dziecko z depresją i myślami samobójczymi, które każdego dnia dzięki ministerialnej próbie malowania trawy na zielono przekonuje się, że nic nie wie, niczego nie rozumie, nic nie znaczy? Czy MEN pamięta te przerażające statystyki, że Polska jest na drugim miejscu w Europie jeśli chodzi o liczbę samobójstw wśród dzieci i młodzieży? To nie jest tak, że pojawienie się koronawirusa zneutralizowało wszystkie inne problemy dzieci! Mogłabym pokusić się o stwierdzenie, poparte badaniami naukowymi, że już sama długotrwała izolacja może prowadzić do pogorszenia zdrowia psychicznego u osób nie wykazujących wcześniej podobnych trudności, a w przypadku istniejących wcześniej problemów tylko je wzmocni!!! Tak więc dziecko lękowe może zacząć panicznie bać się o to, że jego rodzice nie wrócą z zakupów, umrą, nie dotrą do domu z pracy, dziecko agresywne, nadpobudliwe przeładowane nadmiarem obowiązków i koniecznością nieustannego kontaktu z wysokimi technologiami, może zacząć sprawiać jeszcze większe problemy wychowawcze. Te problemy będą narastać! Skoro z niektórymi trudnościami nie mogli poradzić sobie specjaliści i terapeuci w różnego rodzaju placówkach i ośrodkach, to jak ma uporać się z tym rodzic zmuszony do ślęczenia z dzieckiem przed komputerem i odhaczania kolejnych zadań z podstawy programowej?

A co z dzieckiem, które mając 14-18 lat opiekuje się 5 swojego młodszego rodzeństwa, bo rodzice muszą iść do pracy w Żabce, Biedronce, Pogotowiu Ratunkowym, itp., a jego bracia i siostry nie mają dokąd iść, dlatego od 16 marca wszyscy siedzą na kupie na 40-50 metrach kwadratowych?

A jak powinien się zachować maturzysta, kiedy przed komputerem w tym samym czasie ma uczyć się jego 14 letni brat i siostra chodząca do przedszkola?

Dobrze, że jeszcze żłobki nie wprowadziły zdalnej nauki... Mogłabym tak do jutra mnożyć przykłady tego „przygotowania” do nauczania zdalnego... Tylko po co?

Nie jesteśmy przygotowani do nauczania on-line! Są miejsca, które bez odpowiedniego wsparcia nigdy do takiego nauczania przygotowane nie będą! Taka nauka, jaką MEN chce dziś uskutecznić nie ma absolutnie żadnego sensu – robi więcej szkody niż pożytku. Jako specjaliści, profesjonalści, nauczyciele możemy próbować coś robić dla uczniów i ich rodzin, możemy być dostępni, być w stałym kontakcie, próbować pomóc zając dzieciaki jakimiś pasjami, rozwijać ich zainteresowania, ale nie da się niczego sensownego nauczyć w taki sposób, w jaki to się dzieje w tym momencie. Jest jakaś część nauczycieli, która od lat wykorzystywała nowoczesne technologie, jest jakaś część, która uczy się wszystkiego razem z dziećmi, jest też i grupa, która tego nie ogar-



nie w ciągu tygodnia, dwóch, są też warunki na które nauczyciele nie mają wpływu. Moje limity internetu skończyły się po tygodniowej próbie takich działań – dokupiłam większy pakiet... A co jeśli ktoś nie stać? Jeśli właśnie stracił źródło swojego utrzymania, bo pracował na umowę zlecenie, prowadził restaurację, firmę eventową, transportową, kosmetyczną, czy jakąkolwiek inną, która z powodu ograniczeń dziś nie funkcjonuje? Jak wytłumaczyć dziecku, że nie może brać udziału nawet w świetnie przygotowanych zajęciach on-line, bo mamusi nie stać na chleb, nie mówiąc już o dokupieniu pakietu internetowego?

Żał mi tych dzieci (przemęczonych, przestraszonych i przytłoczonych nadmiarem, o których zdrowie psychiczne nie troszczy się już prawie nikt), żał nauczycieli (niepewnych swojej przyszłości, którzy zamiast wsparcia dostają połajanki, że powinni więcej szybciej, teraz, już.. z których trudnymi przeżyciami – lękiem, strachem, bezradnością – MEN się zupełnie nie liczy), żał uwięzionych tym całym szaleństwem rodziców.

Gdyby MEN umiało oddzielić to na co ma wpływ, od tego na co nie ma wpływu podjęłoby mądre, wspierające wszystkich decyzje. Nie mamy wpływu na pojawienie się wirusa, ale na to co zrobimy ze wspólnie spędzonym czasem już tak! Wystarczy mądra ustawa... A gdyby tak od września powtórzyć naukę na tym samym poziomie? Powiedzieć dzieciom, że sytuacja jest wyjątkowa, że w związku z tym mogą skorzystać z oferty przygotowanej przez nauczycieli, ale nie muszą, że mogą skorzystać z

pomocy psychologów, pedagogów i terapeutów z poradni, ale też nie muszą, że mogą rozwijać swoje zainteresowania i pasje, ale nie muszą, że w TVP (podobno telewizja z misją społeczną, tak obficie ostatnio dotowana) będą realizowane programy edukacyjne i powtórki materiału szkolnego, a także eksperymenty naukowe, z których można, ale znów nie trzeba skorzystać. A gdyby tak dać dzieciom wskazówki jak radzić sobie z tą nową dla wszystkich sytuacją. Sprawdzić jakie są faktyczne możliwości zdalnego nauczania wszystkich dzieci w Polsce, a w tym czasie nauczyć nauczycieli jak uczyć zdalnie... Gdyby zamiast wymagać i rozliczać być wsparciem dla dzieciaków, które w tej nierównej walce z wirusem być może stracą także swoich bliskich? A gdyby tak pozwolić dzieciom i rodzicom na kontakt mailowy, skypeowy, telefoniczny z nauczycielami, ale na spokojnie, bez budowania murów niechęci i zasięg obojętności, bez udowadniania kto pracuje, a kto się leni?

Czasem mniej naprawdę znaczy więcej! A gdyby tak pokazać tym dzieciom, że ich życie może być piękne, że mogą odkryć siebie, swoje powołanie, zainteresowanie, pasję, że to wszystko ma jakiś sens, i choć to trudny czas, to mogą wyjść z niego mocniejsi, mądrzejsi, dojrzałsi?

Ale, żeby dojść do takich wniosków, ktoś w MEN musiałby myśleć...

A może to gorączka mnie odebrała rozum?

Radny PiS oddał połowę diety

ERNEST KOBYLŃSKI JEST RADNYM KLUBU PRAWA I SPRAWIEDLIWOŚCI (SAM JEST CZŁONKIEM SOLIDARNEJ POLSKI) NA WARSZAWSKIEJ PRADZE. KIEDY ZACZĘŁA SIĘ EPIDEMIA ZADEKLAROWAŁ, ŻE POŁOWĘ UPOSAŻENIA ODDA NA ZBOŻNY CEL – SŁOWA DOTRZYMAŁ. ZNALAZŁ TEŻ CZAS NA ROZMOWĘ Z NASZĄ POLSKĄ. WCZEŚNIEJ BYDGOSCY RADNI PiS – PAWEŁ BOKIEJ I SZYMON RÓG – PRZEKAZALI CAŁE SWOJE MARCOWE DIETY. JEŚLI ZNACIE PAŃSTWO INNYCH SAMORZĄDOWCÓW LUB URZĘDNIKÓW PAŃSTWOWYCH, KTÓRZY ZACHOWALI SIĘ W RÓWNIIE GODNY SPOSÓB, PROSIMY O KONTAKT. CHĘTNIE ICH POKAŻEMY NA NASZYCH ŁAMACH.

– **Jak obiecałeś, tak zrobiłeś. Połowę kwietniowej diety radnego przekazałeś na oddział transplantacji Centrum Zdrowia Dziecka. Skąd ten pomysł?**

– W kwietniu odbywały się na Pradze jedynie komisje. Planowana Sesja ze względów braku możliwości spotkania oraz utrudnień technicznych, nie odbyła się. W związku z tym, chociaż należę do bardziej aktywnych radnych w mojej Dzielnicy, postanowiłem połowę diety przekazać na rzecz Centrum Zdrowia Dziecka. Oczywiście instytucji, którym jest potrzebne wsparcie finansowe jest wiele, jednak większy sens ma przekazanie tysiąca złotych jednej instytucji niż złotówki tysiącu organizacji. Sam jestem po przeszczepie wątroby, który miał miejsce w 2001 roku w Centrum Zdrowia Dziecka, pamiętam jak kiedyś wyglądał ten szpital, jaką pracę wkładał personel w to, aby dbać o życie i zdrowie pacjentów. W pewien sposób można uznać, że staram się choć trochę odwdziżyć za ratowanie mojego życia 19 lat temu. Ponadto wiem, że te środki zostaną tam wykorzystane we właściwy sposób.

– **Oczywiście mam świadomość, że ten tysiąc złotych nie uratuje służby zdrowia, ale to bardzo ważny gest, sygnał świadczący o tym, że w trudnych czasach musimy wszyscy być solidarni. Słyszałeś o innych politykach, od poziomu rady gminy do parlamentu, którzy zrobili coś takiego?**

– Tysiąc złotych nikogo nie zbawi, ale gdyby każdy radny Dzielnicy przekazał w kwietniu połowę diety na szczytne cele to mielibyśmy ponad 400 tys. zł. Jak wspominałem jestem jednym z aktywniejszych radnych, wiem, że są też osoby, które w inny sposób udzielają się społecznie i charytatywnie. Ja robię to od lat za pośrednictwem różnych stowarzyszeń, fundacji, czy np. Muzeum Postania Warszawskiego, gdzie kiedyś gdy miałem więcej czasu wolnego byłem wolontariuszem. Obecnie wiem, że np. Pan Poseł Paweł Lisiecki rozdaje maseczki ochronne mieszkańcom Pragi. Ja niestety nie mogę wspierać mieszkańców bezpośrednio, ponieważ ze względu na przyjmowane leki mam obniżoną odporność i sam należę do „grupy ryzyka” w starciu z COVID-19. Nie śledzę też działalności każdego polityka. Wiem, że niektórzy z nich wspierają różne fundacje i organizacje charytatywne, ale nie czuję się upoważniony aby o tym opowiadać. Chciałem jednak dać sygnał, że każdy radny, burmistrz, parlamentarzysta,



czy inna osoba pełniąca funkcje publiczne powinna co najmniej raz do roku przekazywać część zarobków (uzyskiwanych z tytułu swojej funkcji) na cele społeczne. Jeżeli ktoś powie, że nie stać go na taką daninę, to znaczy, że źle gospodaruje pieniędzmi i nie jest właściwie przygotowany do sprawowania władzy. Nie jest to duże wyrzeczenie, szczególnie, że poza osobami, które potrafią ciężko pracować możemy też spotkać osoby, których jedyną pracą jest udział w głosowaniach a to trochę za mało. Mam nadzieję, że mój krok podziała motywująco na innych.

– **Jak długo zamierzasz przekazywać połowę diety na zbożne cele?**

– Tak jak wspominałem na początku, było to motywowane tym, iż kwietniowa Sesja się nie odbyła więc obowiązki Rady były spełnione jedynie w połowie. W takich sytuacjach zapewne będę takie działanie powtarzać, nie wiem natomiast, czy zawsze będzie to darowizna na rzecz CZD, czy też innej instytucji wymagającej wsparcia. Jeśli chodzi o przekazywanie różnych kwot na cele społeczne, czy charytatywne to robię to dość regularnie. Są to zazwyczaj znacznie mniejsze sumy, jednakże jeśli ilość osób tak działających będzie większa, to również wsparcie będzie bardziej odczuwalne. Zazwyczaj też nie informuję o takich sprawach publicznie. Tym razem zrobiłem inaczej ze względu na sytuację jaką mamy. Widzimy jak wszyscy tną koszty, jaki cios otrzymała gospodarka. Dlatego uważam, że w tym trudnym czasie chociażby jednorazowa danina ze strony polityków byłaby czymś wskazanym. Publiczną deklaracją darowizny chciałem do takiej postawy zachęcić kolejne osoby. Kropla draży skałę.



Gunnar Lindemann ostrzega: Pojawiają się bardzo wyraźne oznaki poważnego kryzysu gospodarczego

– Jak wiadomo świat i Europa walczy teraz z koronawirusem. Przez epidemię na pewno dojdzie do kryzysu gospodarczego, a system podatkowy Niemiec jest najbardziej złożony na świecie. Jak według Pana no i AfD powinna wyglądać kwestia gospodarki Niemiec, system podatkowy?

– Nadejdzie kryzys gospodarczy. Dziś cena ropy spadła, a nawet spadła do USA. Cena złota wciąż rośnie i utrzymuje się na niezwykle wysokim poziomie. Są to bardzo wyraźne oznaki zbliżającego się poważnego kryzysu gospodarczego. Teraz musimy ponownie uruchomić gospodarkę, aby uniknąć największych szkód. Niemcy będą musiały wydać wiele miliardów euro, aby opanować sytuację w Niemczech. Kolejną kwestią są omawiane obligacje koronowe. To nie może istnieć. Niemcy nie mogą spłacić długów innych krajów UE. Kolejnym problemem jest niebezpieczeństwo nowego kryzysu bankowego i kryzysu euro. Polska ma szczęście, że ma własną walutę „złotego”.

– Jak według Pana powinna wyglądać polityka socjalna Niemiec? Czy według Pana Niemcy powinni otrzymywać wsparcie w formie socjału, czy polityka socjalna powinna bardzo się skurczyć?

– Polityka społeczna nie może się kurczyć. Będziemy musieli wydać więcej pieniędzy na świadczenia społeczne w Niemczech. Wiele osób już straciło pracę, a wiele innych wciąż może stracić pracę. Musimy pomóc ludziom w utrzymaniu. Będzie to kosztowało dużo pieniędzy.

– Kolejną kwestią jest edukacja. W Europie swoje szkoły dla dzieci chcą tworzyć też różne mniejszości. Np. chociażby chcą utworzyć szkoły muzułmańskie. Czy AfD, gdyby doszło

do władzy pozwoliłoby na takie szkoły, czy raczej by takie szkoły zamykało?

– Za szkołę i edukację odpowiada państwo. Uczęszczanie do szkoły jest obowiązkowe w Niemczech. AfD odrzuca specjalne szkoły islamskie. Nie chcemy równoległych społeczeństw w Niemczech.

– W Niemczech mieszka sporo Polaków, jednak niektórzy działacze AfD niezbyt przychylnie wypowiadali się na temat Polaków. Jak Pan się do tego może odnieść?

– Polacy mieszkający w Niemczech są na ogół dobrze zintegrowani i przyjechali tutaj do pracy. Niektórzy Polacy również mieszkają w mojej okolicy. Nigdy nie miałem żadnych problemów. Byłem też bardzo często w Polsce. Bardzo piękny i gościnny kraj. Wiele wypowiedzi polskich polityków na temat wypłat odszkodowań wywołało obrzydzenie. Myślę, że powinniśmy pozwolić historii być historią i zadbać o przyszłość. Polska może być pod pewnymi względami wzorem dla Niemiec. Na przykład w polityce azylowej. Powinniśmy zintensyfikować współpracę między Polską a Niemcami.

– Wracając do koronawirusa, który kraj na świecie według Pana najlepiej radzi sobie z epidemią koronawirusa?

– Nie znam sytuacji we wszystkich krajach. Ale do tej pory uważam, że Szwecja odnosi największe sukcesy. Gospodarka nie była całkowicie sparaliżowana. W Niemczech podczas koronawirusa czujesz się jak w kraju trzeciego świata: nie ma nawet papieru toaletowego do kupienia.

Rozmawiała: Agnieszka Malinowska

Patriota nie może głosować na Trzaskowskiego

rozmowa z Robertem Bąkiewiczem



NA TEMAT DRUGIEJ TURU WYBORÓW PREZYDENCKICH I WNIOSKU O DELEGALIZACJĘ STOWARZYSZENIA MARSZ NIEPODLEGŁOŚCI Z JEGO PREZESEM – ROBERTEM BĄKIEWICZEM – ROZMAWIA PAWEŁ SKUTECKI.

– Pana konferencja prasowa pod siedzibą Platformy Obywatelskiej zrobiła trochę zamieszania po stronie zwolenników Konfederacji, która nie poparła żadnego z kandydatów w drugiej turze. Pana zdaniem wybór Andrzeja Dudy jest – cytuję – przymusem. Dlaczego Pan tak sądzi?

– W tej konferencji prasowej odnosiłem się do słów Borysa Budki, który mówił o tym, że w Marszu Niepodległości idą patrioci i ten marsz jest patriotyczny, co oczywiście jest prawdą, ale w ustach tego pana jest to spore nadużycie. Środowisko tego pana i pana Trzaskowskiego próbowało delegalizować ten marsz, a kiedy było u władzy pacyfikowało uczestników marszu, przywoziło z Niemiec anarchistyczne bojówki do tego, żeby były patriotów, weteranów. Do tego się odnosiłem. W kontekście wyboru na prezydenta wydaje się, że Rafał Trzaskowski jest osobą zupełnie niewiarygodną i osobą, która reprezentuje stanowisko antypolskie. Dlatego wybór tego człowieka jest dla Polski szkodliwy.

– Wczoraj padła deklaracja Rafała Trzaskowskiego, że pójdzie na Marsz Niepodległości jeśli będzie on pozbawiony politycznych kontekstów i jeśli będą uczestnikami rodziny z dziećmi. Byłem na niejednym marszu i zawsze tak było, że były tam rodziny z dziećmi...

– Panu Trzaskowskiemu mogę odpowiedzieć tylko tyle, że to jest marsz dla polskich patriotów, dlatego niech zacznie bardziej kochać Polskę od Berlina czy Brukseli. Uważam, że wtedy jak najbardziej może przyjść na marsz. Dzisiaj wydaje się to z jego strony jakąś grą piarową i zachęceniem wyborców o poglądach patriotycznych do tego, żeby na niego głosowali. Wydaje się to z mojej perspektywy jakąś zupełną aberracją.

– Koledzy pana Trzaskowskiego – posłowie Nitras i Wie-

lichowska – wnieśli do prokuratury wnioski o delegalizację stowarzyszenia Marsz Niepodległości (pisaaliśmy o tym tutaj) Dzisiaj został on oddalony. Jest Pan zadowolony z tej decyzji?

– Od pana redaktora dowiaduję się o tej decyzji. Nie ma żadnych podstaw do delegalizacji, to jest element gry piarowej, jaką to środowisko prowadziło wcześniej. To są ludzie, którzy posługują się kłamstwem, oszustwem i fałszywymi oskarżeniami. W dowolnym czasie używają dowolnych argumentów, żeby zaskarżyć sobie sympatię jakiejś grupy wyborców.

– Jeśli chodzi o niedzielne wybory, jest Pan przekonany, że należy pójść i oddać ważny głos?

– Tak, Polacy i patrioci powinni pójść i zagłosować. Na pewno nie powinni oddać głosu na pana Trzaskowskiego. Przypomnę tylko, że reprezentuje on opcję, która chce federalizacji Unii Europejskiej, czyli zastąpienia naszej suwerenności, chce wprowadzenia waluty euro, czyli kolejnego ograniczenia naszej suwerenności. Ta opcja chce rewolucji w sferze obyczajowej, wprowadzenia małżeństw homoseksualnych i związków partnerskich, preferuje – choćby obsadzając na ważnych stanowiskach w warszawskim ratuszu – osoby o poglądach skrajnie lewicowych, marksistów kulturowych, czy raczej antykulturowych. Wybór jest dla nas w pewnym sensie trudny, bo mamy uwagi do co prezydenta Andrzeja Dudy za wiele kwestii, jakich nie poruszył w trakcie kadencji, chociażby obrony życia czy ustawy 447, czyli żydowskich roszczeń do mienia bezdziedzicznego, ale druga strona w tych negatywnych elementach zdecydowanie przebija pana Andrzeja Dudę. W mojej ocenie żaden patriota nie może głosować na pana Trzaskowskiego.

Czego nie da sobie wbić w tyłek Wojciech Cejrowski?

Z PODRÓŻNIKIEM WOJCIECHEM CEJROWSKIM ROZMAWIA PAWEŁ SKUTECKI

– **Niebawem wybory prezydenckie, będzie Pan głosował osobiście, czy korespondencyjnie?**

– Korespondencyjnie nigdy, bo to GRANDA. System w ogóle nieodporny na oszustwa. W sytuacji, gdy istnieje możliwość głosowania korespondencyjnego wszelkie głosowanie traci sens, bo nigdy nie wiesz w jakim zakresie wybory zostały sfałszowane.

Przy systemie korespondencyjnym fałszować łatwo może władza, lub ktokolwiek inny. Władza ma sposobów wiele, bo kontroluje na przykład Poczta Polską. Ja mam sposobów mniej, ale też sporo. Na przykład taki prościusieńki: 1. zgłaszam wniosek online w gminie za mojego kuzyna, znajomego, kolegę, mogę zgłosić za każdego którego adres i pesel znam, a przecież znam adresy i pesele wielu osób. Każdy zna. Przedsiębiorca z umów, księgowie, szkoły. 2. Nikt nie jest w stanie sprawdzić czy to kuzyn zgłaszał wniosek, czy ja, bo zgłoszenie odbyło się online. 3. Ze skrzynki kuzyna wyjmuję i wypełniam pakiet wyborczy, a potem wysyłam tak jakby to zrobił kuzyn. Kuzyn o niczym nie wie, bo jest akurat na robocie w Irlandii, albo stale pijany, albo ja mu zapłaciłem za ten jego pakiet, bo jemu nie zależy, a ja jestem z PO i zbieram sobie głosy na Kwaśniewskiego2, czyli na Trzaskowskiego. Proste.

A zatem w takich oszukańczych wyborach udziału brać nie chcę, bo one są tak samo ważne jak wybory za komuny – tam oszukańczy system i tu też.

Ale nawet gdybym chciał zagłosować to nie będę mógł, gdyż PIS wykluczył z głosowania Polaków zamieszkałych za granicą. Teoretycznie możliwość jest, ale w praktyce, np. w USA nie ma. A w kilku innych krajach nie ma możliwości wcale i na pewno. I ja już nawet nie myślę o klasycznej Polonii, lecz o Polakach na polskim paszporcie przebywających czasowo na zarobku zagranicznym lub zablokowanych za granicą bo nic nie lata.

– **Czy katolik ma na kogo głosować w tych wyborach?**

– Moim zdaniem to bardzo trudne. Jeszcze nigdy nie było aż tak trudne, bo nigdy wcześniej nie mieliśmy tylu kandydatów pozornie katolickich. Duda jest takim kandydatem. PiS jest piękny w słowach, ale w praktyce z aborcją robi DOKŁADNIE to samo co komunistyczna partia SLD – odwlekanie w nieskończoność, a w tym czasie dzieci są mordowane

– **Czy może przyjść taki moment, że zdecyduje się Pan wziąć polskie sprawy w swoje ręce i wystartować na prezydenta Polski?**

– Nie.

I pańskie pytanie zawiera fałszerstwo, lub pomyłkę. Polskie sprawy nie zależą od polskiego prezydenta. To nie jest wina prezydenta lecz konstytucji napisanej przez Kwaśniewskiego1. Urząd prezydencki nie posiada mocy sprawczej, więc bycie prezydentem RP nie ma sensu, jeżeli ktoś chciałby zmienić Polskę. Jeżeli chce sobie pojeździć po świecie, poprzymuszać orderów i pojeść za darmo, to owszem – przyjemna fucha. Ale jeżeli chciałbyś coś zrobić dla Polski, lub przynajmniej coś dla Polski zablokować, to urząd prezydencki w obecnym kształcie jest stratą czasu.

Pan mi da dyktaturę na krótki czas to się najpierw przygotuję, czyli napiszę stertę dekretów plus Konstytucję Wolnej Polski, a potem w tym krótkim czasie będę podpisywał te gotowe dekryty. Wszystkie będą WCZEŚNIEJ znane i opublikowane zanim zo-



stanę dyktatorem. Naród powinien z góry wiedzieć kogo wybiera, a kandydat powinien z góry wiedzieć co wykona. W obecnej Polsce projekty ustaw zaczynają powstawać PO wyborach. To jest granda i oszustwo. Gotowe ustawy (a nie projekty) powinny leżeć gotowe przed wyborami, a Sejm z większością PIS powinien PIERWSZE-GO DNIA URZĘDOWANIA przegłosować wszystkie gotowce. Dwanaście godzin głosowania i mamy Nową Polskę, a opozycja i media nie mają czasu na komentarze, bo w jeden dzień przegłosowana tysiąc nowych ustaw plus nową Konstytucję.

Pierwszym moim dekretem, który bym podpisał, to moja abdykacja w terminie 100 dni od objęcia urzędu. Abdykacja NIE-ODWOŁALNA nawet, gdybym zmienił zdanie. Coś w rodzaju cyrografu.

– **Dlaczego wziął Pan udział w marszu „antyszczepionkowców i płaskoziemców” jak go nazywa ogromna część mediów, polityków i urzędników?**

– Nie brałem udziału w czymś takim. Ja poszedłem na marsz przeciwko PRZYMUSOWI szczepień. Minister Zdrowia, czy każdy inny zwolennik lewicy może sobie wbijać w tyłek dowolną igłę z dowolną substancją. Byle nie pchał się z tym do mojego tyłka.

– **Czy nie sądzi Pan, że ostatnie wydarzenia związane z koronawirusem mogą się stać pretekstem do ograniczenia nam praw i wolności obywatelskich na stałe, a nie tylko tymczasowo?**

– Nie. Nie sądzę, że „mogą się stać”. Już się stały.

Polskie sądy rodzinne? Idioci, kłamcy, psychole

KIEDY JOHN ADKINS PRZYJEŹDŹAŁ WIELE LAT TEMU DO POLSKI NIE MÓGŁ SIĘ SPODZIEWAĆ, ŻE SPĘDZI TYLE CZASU W SĄDACH RODZINNYCH. I ŻE DOSTANIE TAM WSZYSTKO, TYLKO NIE POMOC. JEHO KSIĄŻKA OPISUJĄCA TEN KOSZMAR JEST JUŻ DOSTĘPNA W JĘZYKU ANGIELSKIM. POLSKIE TŁUMACZENIE JEST GOTOWE I CZEKA NA WYDAWCĘ. TYMCZASEM Z OKAZJI DNIA OJCA PAWEŁ SKUTECKI ROZMAWIAŁ Z JOHNEM O TYM, CO GO SPOTKAŁO W POLSKICH SĄDACH I DLACZEGO BYCIE OJCEM NASZYM KRAJU CZĘSTO JEST SPORTEM EKSTREMALNYM.

– **Jesteś autorem książki, która bezlitośnie odsłania mechanizmy rządzące polskim systemem sądów rodzinnych. Ile lat trwa Twoja batalia z sądami?**

– Pierwszy raz trafiłem do tutejszego, krakowskiego sądu w 2007 roku. Od tej pory stałem przed sądem 197 razy. Jeśli to nie jest rekord Polski, to chciałbym wiedzieć, kto był więcej razy. Nie sądzę, żeby najgorsi polscy przestępcy byli w sądzie tyle razy co ja. Byłem pewny, że dobieję do dwustu, ale sytuacja z COVID-19 mnie zatrzymała. Większość spraw związanych z moją córką Mają niebawem się urwie, bo skończy ona osiemnaście lat. To pokazuje, że możesz iść do sądu po pomoc w sprawie zobaczenia się z własnym dzieckiem, kiedy ono jeszcze nie chodzi do szkoły i wciąż nie dostać tej pomocy, kiedy ono wybiera się na studia. Takie jest tempo prac w polskich sądach rodzinnych.

– **Kiedy ostatni raz widziałeś córkę?**

– Ostatni raz z Mają miałem jakikolwiek normalny kontakt latem 2007 roku. Wtedy lub krótko później powinien interweniować sąd. Polskie sądy rodzinne wykorzystują mijający czas żeby usprawiedliwiać swoją beczynność. Mówią, że ojciec nie może się spotkać z własnym dzieckiem, bo „dobrem dziecka” nie jest kontakt z ojcem, a jest nowy rytm życia narzucony przez alienującą matkę. Innymi słowy, polskie sądy nie robią nic, a potem wykorzystują efekt swojej beczynności do usprawiedliwienia dalszego nic nie robienia.

– **Alienacja rodzicielska to wyrafinowana forma przemycy. Czy ktokolwiek poniósł jakąkolwiek odpowiedzialność za to co się stało?**

– Po tym jak matka mojej córki przez pięć lat całkowicie ignorowała orzeczenia sądów odnośnie mojego prawa do spotykania się z córką, sąd wreszcie nałożył na nią „karę” – sto złotych za każdorazowe złamanie orzeczenia sądu. Grzywna oczywiście zgonie z polskim prawem nie ma wówczas zastosowania do przeszłości, tylko do przyszłych wydarzeń. Osoba łamiąca prawo nie poniosła więc żadnych konsekwencji dotyczących swojego postępowania przez cały wcześniejszy czas. Proces przekonywania sądu do nałożenia grzywny trwał prawie trzy lata. A kiedy sąd ustalił kwotę „kary” – sto złotych – w zasadzie była ona po prostu ceną wyznaczoną przez sąd za nieprzestrzeganie prawa. W moim przypadku było to 400 złotych miesięcznie. Tyle wystarczyło, żeby być całkowicie zwolnionym od obowiązku wykonywania nakazu sądowego, którego uzyskanie zajęło mi wiele lat.

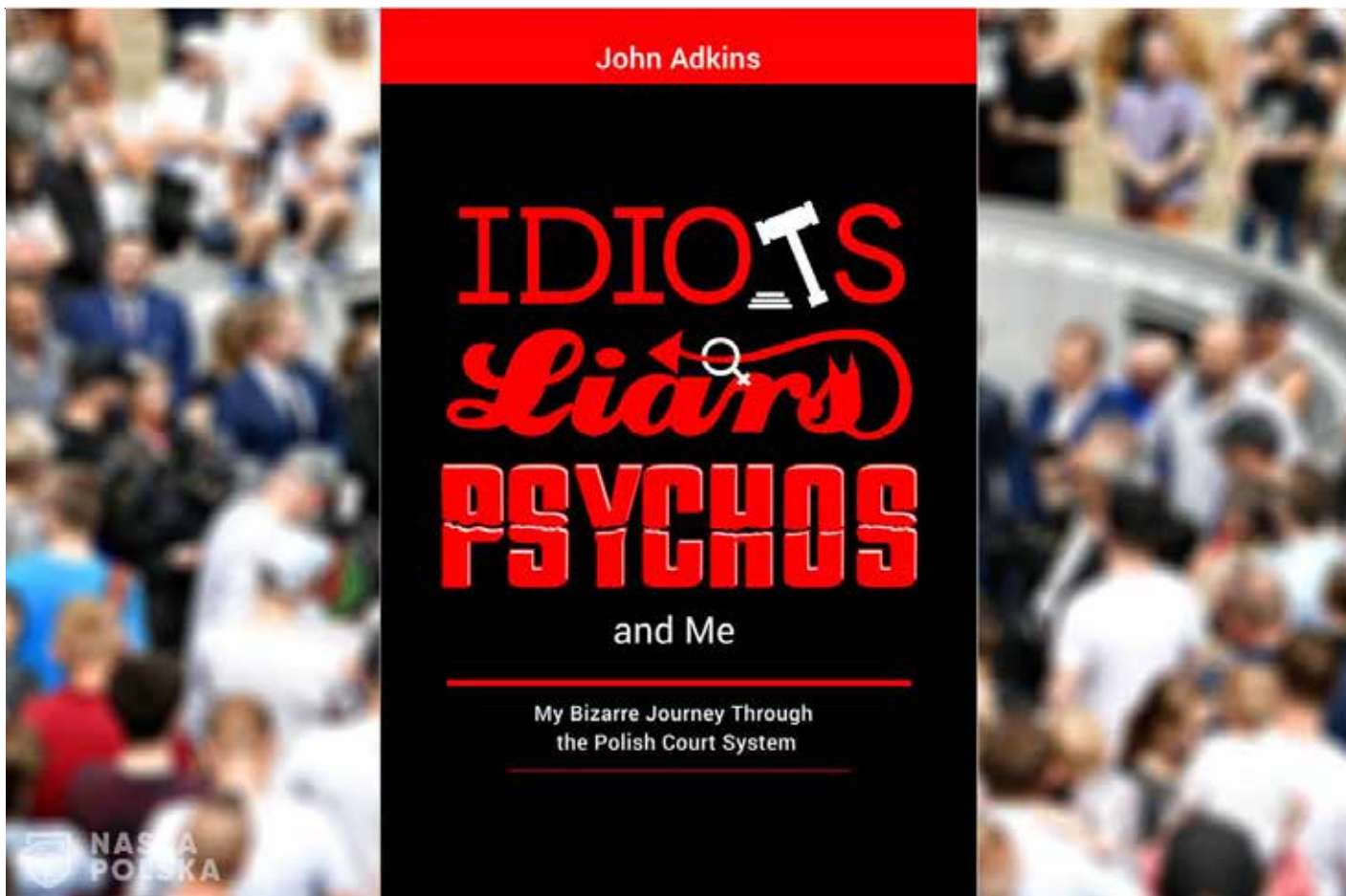
– **Miałeś przez te wszystkie lata chwile słabości? Chciałeś się poddać?**

– Mogę szczerze powiedzieć, że nigdy nie myślałem o poddaniu się. Maja to moja córka i zrobiłbym dla niej wszystko. To nie znaczy, że nie miałem momentów załamania, depresji, gniewu. Doświadczenie z polskimi sądami w każdym wzbudzi takie emocje. Trudno uwierzyć jak bardzo niekompetentne są polskie

sądy. Co najmniej pięć czy sześć rozpraw zostało odwołanych, bo sędzia nie miał właściwych akt sprawy, a z jakiegoś idiotycznego powodu w Polsce rozprawa nie może się odbyć jeśli sąd nie ma w rękach fizycznie akt sprawy. Oczywiście o tym, że rozprawa jest odwołana dowiadywałem się dopiero po przyjeździe do sądu, kiedy musiałem wziąć wolne z pracy i poświęcić cały dzień na odwołaną rozprawę. Za każdym razem sędzia mówił, że nie ma akt, więc zobaczymy się za trzy czy cztery miesiące i spróbujemy znowu. Są też inne wady systemu, które powodują, że sprawy ciągną się w nieskończoność. Kiedyś poprosiłem o dokumenty z raportu policyjnego. Kiedy jakieś dwa miesiące później zostały one wreszcie dołączone do akt sprawy, dowiedziałem się, że sąd popełnił czeski błąd, zamienił dwie liczby i zamiast tego co potrzebowaliśmy, dostaliśmy zdjęcia z jakiegoś wypadku samochodowego. Innym razem poprosiłem sąd o uzyskanie ważnej dokumentacji, bardzo wrażliwej na upływ czasu. Sąd przez ponad rok nie odpowiedział na moją prośbę. Kiedy wreszcie zdecydował się pozyskać ten dowód okazało się, że został on zniszczony miesiąc wcześniej zgodnie z przepisami o przetwarzaniu i przechowywaniu danych. Każdy kontakt z sędziami sprawia, że masz ochotę machnąć ręką i się poddać. Nigdy nie masz pewności, czy oni w ogóle zwracają na ciebie uwagę. Wierzą w najbardziej oczywiste kłamstwa i nigdy nie kwestionują niczego, co mówi matka dziecka. Straciłem rachubę ile razy pokazywałem sędziemu, że matka mojej córki zaprzeczała sobie lub zwyczajnie kłamała. Odpowiedź brzmiała zawsze tak samo: „Ok, kontynuujemy. Udoowodniłem przed sądem nawet to, że matka mojej córki kłamała na temat swojego adresu, ukrywała prawdziwy adres mojej córki, a odpowiedź sądu była taka, że już za późno aby to zbadać i że „jurysdykcja została już ustalona”. Każdy kto spędza wystarczająco dużo czasu w polskim sądzie rodzinnym będzie miał wątpliwości, czy cokolwiek on załatwi do końca.

– **Jakie widzisz najważniejsze wady polskiego systemu sądów rodzinnych?**

– Pierwszą i najbardziej oczywistą rzeczą jest ilość czasu potrzebna do podjęcia nawet najprostszych decyzji. Nawet jeśli fakty w sprawie są oczywiste, to jak możesz cokolwiek zrobić spotykając się przez 45 minut co cztery czy sześć miesięcy? Na dodatek sędziowie nie zrobią nic, gdy jedna ze stron w sprawie unika i gra na zwłokę. Możesz być ciągle „chory”, a sędzia nic nie powie. Teoretycznie musisz mieć zwolnienie od lekarza sądowego, żeby usprawiedliwić swoją nieobecność, ale matka mojej córki przesłała zwolnienie od swojej matki – pediatry – jakieś 40 razy i żaden sędzia nigdy nie powiedział ani słowa. Zwolnienie od własnej matki! Ale prawdziwym problemem polskich sądów rodzinnych jest całkowity brak powagi, odpowiedzialności i wyciągania konsekwencji. Nie ma żadnych kar za nieprzychodzenie na rozprawy. Nie ma żadnych konsekwencji za kłamanie na temat



swojej choroby. Tak samo jak za inne kłamstwa. Nie ma żadnych konsekwencji za łamanie orzeczeń sądowych, których uzyskanie trwa długie lata. I nie mów mi, że stuzłotowa grzywna to jest jakaś kara. To jest żart. Prawda jest taka, że polskie prawo nie wie co zrobić z matką, która powie: „nie zamierzam się dostosować do orzeczenia i nie obchodzi mnie co o tym sądzisz”. Cały system zależy od dobrej woli, ale gdyby obie strony miały dobrą wolę i naprawdę działały z myślą o dobru dziecka, to by się nie spotkały w sądzie. Tak trudno jest polskim sądom to zrozumieć. Jeśli chodzi o mężczyzn, przykładowo w kwestii alimentów, to rząd zachowuje się inaczej: natychmiast rusza do działania, a jak nie zapłacisz, to szybko spotkasz się z kimś kto nosi odznakę i broń. Ale kiedy kobieta stworzy koszmarnie dysfunkcyjne środowisko psychologiczne dla dziecka i odmawia robienia tego, co leży w jego interesie i moralnie jest właściwe, to prawo rozkłada ręce. Jest bezradne.

– **Tłumaczenie Twojej książki jest już gotowe, szukasz polskiego wydawcy. Sądzisz, że ta książka może zmienić system?**

– Mam nadzieję. Coś musi go zmienić. Jestem przekonany, że większość ludzi, którzy nigdy nie mieli bezpośredniego kontaktu z polskim systemem sądów rodzinnych, nie ma pojęcia, jak one są beznadziejne i całkowicie bezużyteczne. Wiem, że sądy stały się w ostatnich latach kwestią polityczną i jak wiele osób chce ich „bronić”, ale kiedy oglądam to w telewizji to się zastanawiam, na ile ci ludzie naprawdę wiedzą, czego bronią. To tak jakby ludzie „bronili” szpitala, w którym umiera większość pacjentów albo „bronili” szkół, w których dzieci nie potrafią czytać. Ludziom podoba się idea niezależnych sądów, rozumiem to, ale nikt nic nie mówi na temat niezależnych sądów, które ROBIĄ DOBRZE SWOJĄ ROBOTĘ. Powiem to wprost: polski system wymiaru sprawiedliwości jest kompletnie zepsuty i większość Polaków nawet o tym nie wie.

– **Skąd wziął się pomysł na napisanie o tym książki?**

– Na początku był to prostu sposób na uporządkowanie tego

wszystkiego co się działo, bo sytuacja bardzo szybko robiła się niesamowicie skomplikowana. Zbyt wiele spraw było do zapamiętania, więc zacząłem wszystko notować. Było to dla mnie również sposobem na poradzenie sobie – psychologicznie – z sytuacją. Wiedziałem, że dokumentować wszystko, żeby moja córka mogła kiedyś poznać całą prawdę. W pewnym momencie miałem już napisane tak dużo, że pomyślałem o wykorzystaniu tych notatek do opowiedzenia swojej historii i nakreślenia sposobu działania polskich sądów. Myślałem, że może to pomóc ludziom, którzy nigdy nie byli w takiej sytuacji i będą szukali informacji o tym, czego mogą się spodziewać.

– **A skąd pomysł na taki tytuł?**

– Spędziłem jakieś 90 procent mojego czasu w sądach w towarzystwie „idiotów, kłamców i psycholi”. Miałem tak wiele historii do zilustrowania każdej z tych grup, że postanowiłem przedstawić je w swojej książce obok głównego wątku. Każdy kto przeczyta tę książkę zgodzi się, że tytuł precyzyjnie oddaje to co mnie spotkało w polskich sądach.

– **Po polsku książka jest jeszcze niedostępna, ale jest już do kupienia po angielsku. Z jakim odbiorem się spotkała?**

– Angielska wersja jest dostępna na Amazon od trzech lat. Dostałem wiadomości od wielu osób z całego świata, które miały podobne problemy co ja. Książka jest często wspomniana na forach poświęconych ludziom szukającym porad i wsparcia w sprawach sądowych dotyczących dzieci. Skontaktowało się ze mną również wielu Polaków, którzy przeczytali angielską wersję. Wielu miało doświadczenia bardzo podobne do moich, dzieliliśmy się historiami o niewiarygodnych rzeczach jakie dzieją się w polskich sądach. Sporo tych osób spotkałem osobiście. Co ciekawe, dostałem również wiadomości od kilku kobiet, które zostały przez sądy źle potraktowane. Trzeba więc pamiętać, że choć mężczyźni są zdecydowaną większością ofiar głupoty sądów, to kobiety również są przez nie krzywdzone.

Miała się nie urodzić

Z IŁONĄ LACHOWICZ, KTÓRA MIAŁA NIE NARODZIĆ SIĘ, TOWARZYSZĄCYCH JEJ PRZEZ CAŁE ŻYCIE LĘKACH I ABORCJI, ROZMAWIA LENA OSTROWSKA.

– **Towarzyszy Pani w życiu uczucie ocalańca?**

– Cały czas. Obecnie przechodzę terapię „12 kroków”, ponieważ jestem dorosłym dysfunkcyjnym dzieckiem alkoholika. O tym, że miałam się nie narodzić dowiedziałam się, gdy byłam już dorosła. Powiedziała mi mama i starsze siostry. Przez całe życie nie znałam prawdy o samej sobie. Miałam lęki egzystencjalne, doświadczałam ciągłej samokrytyki i lęku przed odrzuceniem. Do tej pory mam obawy przed wykonaniem jakiegoś telefonu, nad czym staram się pracować. Przyszłam na świat w niezamówionej rodzinie razem z moją siostrą bliźniaczką jako siódme i ósme niechciane dziecko. Ojciec był alkoholikiem, nie brakowało też przemocy. Nie poczęliśmy z miłości. Mama zaszła z nami w ciążę po dwunastu latach od narodzin mojego najmłodszego rodzeństwa. Było jej bardzo ciężko, bliscy namawiali ją do aborcji. Próbowali jej wmówić, że na pewno urodzimy się z Zespołem Downa. Pytali, po co mamie kolejne dzieci w ubogiej rodzinie.

– **Dowiedziała się Pani w dorosłym życiu, że została ocalona jako nienarodzone dziecko. Wspomniane lęki miały miejsce już w dzieciństwie?**

– Tak. Nienarodzone dziecko już na etapie prenatalnym odczuwa wszystkie emocje, które towarzyszą matce. Tak było też w moim przypadku i dawało się we znaki przez resztę życia.

– **Co pomogło mamie podjąć decyzję, aby donosić ciążę?**

– Całe życie była wierzącą osobą. To wierność Bogu i szacunek do poczętego życia, które nosiła pod swoim sercem pomogły mamie donosić tę ciążę, mimo licznych obaw. Robiła wszystko, aby dzieciom niczego nie brakowało, mimo że żyliśmy w ubogiej rodzinie. Nauczyła nas wiary i miłości do ojczyzny. Bliskość Boga i zaufanie do Niego dodawały jej siły, gdy zaszła w wieku 43 lat w ciążę bliźniaczą. Gdy wybrała się do lekarza, zapytała czy rzeczywiście jest to „tylko zlepek komórek” jak próbowała wmówić jej rodzina. Doktor powiedział jej, aby poczekała dziewięć miesięcy i wtedy zobaczy czy to „tylko zlepek komórek”, jak określali mnie i moją siostrę najbliżsi. Mimo, że miała wiele lęków, czuła się odrzucona i zaszczuta przez rodzinę, postanowiła nas urodzić. Była przekonana, że skoro Pan Bóg daje dziecko, to da i na to dziecko.

– **Gdyby trafiła na lekarza, który sugerowałby aborcję... dziś nie było Was na świecie.**

– Mama nie zdecydowałaby się na zabicie swoich córek, które nosiła pod swoim sercem, mimo że czuła się osamotniona i jak już wspomniałam było jej bardzo trudno. Dziś kobiety często są pod presją lekarzy, którzy sugerują aborcję w przypadku dzieci z różnymi wadami lub prawdopodobieństwem ich wystąpienia. Kiedy kobieta idzie do lekarza, aby potwierdzić ciążę, otrzymuje gratulacje i słyszy, że pod jej sercem jest „dzidzius”, natomiast gdy zostaje stwierdzona jakaś choroba dziecka, słyszy, że to „płód”, „zlepek komórek” oraz że ma możliwość przerwania ciąży, często wręcz namawiana do aborcji przez lekarza. Kobieta jest zostawiona sama sobie, często czuje się odrzucona, jeśli nie zgodzi się na zabicie własnego dziecka.

– **Jak zareagowało Pani rodzeństwo, gdy urodziliście się?**

– Jeśli pojawia się nowe życie w rodzinie, bliscy jednoczą się, zaczynają sobie pomagać. Tak było też w naszej rodzinie, gdy urodziliśmy się. Mama mogła liczyć na nasze starsze rodzeństwo,

które starało się dbać o nią i być posłuszne. Dzieci, które przychodzą na świat, zwłaszcza te chore czy niechciane, sprawiają, że ludzie wokół nas stają się lepsi. Stają się wrażliwi na potrzeby i krzywdę drugiego człowieka. Cierpienie innych nas przemienia, przestajemy żyć dla siebie, zaczyna się służba drugiemu, rodzi się dobro. Dziś ludzie nie rozumieją sensu cierpienia, człowiek stawia się w roli Boga i uważa, że może decydować o tym, kto ma żyć a kto nie.

– **Jak wyglądają dzisiaj wasze relacje w rodzinie?**

– Nie wracamy do tego, co było. Nasze relacje zostały uzdrowione, a rany zagojone. Jestem matką dwójki dzieci i jednego w niebie, utraconego wskutek poronienia. Macierzyństwo jest wielkim darem, szczęściem i radością. Na początku ciąży towarzyszył mi strach. Przez całe życie uważałam, że wszystkie inne kobiety mogą być matkami tylko nie ja. Podczas pierwszej ciąży byłam sparaliżowana lękiem. Myślę, że był spowodowany tym, co wtedy przeszła moja mama. Z upływem czasu poczułam dopiero prawdziwą radość z macierzyństwa. Jestem mamą 14-letniego Nataniela i 6-letniej Basi. To mali obrońcy życia. Wspólnie już po raz piąty dołączyliśmy do Duchowej Adopcji Życia Poczętego. Codziennie dziesiątką różańca przez dziewięć miesięcy modlimy się za zagrożone życie nienarodzonego dziecka. Czujemy, jakby te dzieci należały do naszej rodziny.

– **Jest wiele organizacji i środowisk pomagających samotnym kobietom w ciąży, także tym które rozważają aborcję. Dostrzega Pani to wsparcie?**

– Oczywiście. Wystarczy tylko poprosić bliskich i poszukać takich środowisk w internecie czy w swojej parafii. Najłatwiej się „pozbyć problemu” w postaci zabicia dziecka. Taki egoizm cechuje dziś całe społeczeństwo i widać to na wszystkich płaszczyznach życia. Żadna z osób promujących aborcję nie mówi matkom o cierpieniu i syndromie postaborcyjnym, z którym będą zmagać się przez całe życie. Kobiety, które dokonały aborcji, nawet jako starsze osoby, po wielu latach, myślą o swoich dzieciach, którym nie pozwoliły przyjść świat. Zmagają się z wielkim psychicznym i duchowym cierpieniem, które może uzdrowić tylko bliska relacja z Panem Bogiem. Spotkałam wiele takich kobiet, które przez całe życie nosiły maski. Ich sumienie w pewnym momencie życia zostało uspięcone i obudziło się po latach. Kobietom rozważającym aborcję nikt nie mówi o tym, że przez całe życie będzie towarzyszyć im syndrom poaborcyjny, objawiający się m.in. depresją, zwijaniem się z rozpacz w pozycję embrionalną... Żaden lekarz i żadna terapia nie jest w stanie tego uleczyć. Tylko Pan Bóg. Prośba o wybaczenie tego grzechu, pojednanie się z Bogiem i tym dzieckiem, jego duchowe pożegnanie, szczerą spowiedź, nieustanna modlitwa i życie w łasce uświęcającej może doprowadzić do uzdrowienia tych ran i pozbycia się przeżywanego koszmaru. To długi proces.

– **Aborcja to nie rozwiązanie.**

– Gdy kobieta dowiaduje się, że jest w ciąży, powinna czuć się odpowiedzialna razem z ojcem dziecka za to nowe życie, niestety bardzo często zostaje ona z tym sama. Ogromna odpowiedzialność za większość aborcji dokonywanych przez kobiety spoczywa na mężczyznach, którzy ratują się ucieczką. Gdy kobieta jest samotna albo dziecko jest chore, tym bardziej powinna szukać wsparcia i pomocy innych osób i organizacji. W wielu miejscach można znaleźć Okna Życia, wiele rodziców czeka na adopcję, są też Domy Samotnych Matek i fundacje, które pomagają tym kobietom. Nie można się poddawać. Trzeba szukać otwartych drzwi, za którymi można doświadczyć bezinteresownej pomocy.



Wiele osób chce okazać swoją pomoc i serce kobietom w trudnych ciążach.

– **Jaką wartość ma dla Pani i siostry ludzkie życie?**

– Nadrzędną. Każdy człowiek jest chciany i zaplanowany przez Stwórcę. Poród mamy przebiegł bez komplikacji. Urodziłyśmy się zdrowe. Jesteśmy z całego rodzeństwa najwyższe i pełne sił fizycznych. Widzę w tym Boży plan. Narodziłam się po to, aby pokazywać jak życie może być piękne, jak wielkim jest darem i dobrem.

– **W dobie pandemii WHO zachęca do aborcji farmakologicznej jako jedną z form „samoopieki”. Obok mycia rąk wymienia także aborcję farmakologiczną. Organizacja namawia także, aby kobiety wykonywały tę formę aborcji bez kontroli lekarza. Legalizacja zabójstwa prenatalnego, miała być, zdaniem WHO, „kluczowa” dla zdrowia kobiet.**

Świat jest pełen absurdów. Chociażby to jak jednego dnia aktorka Katarzyna Zielińska razem z innymi celebrytkami promuje aborcję i rysuje sobie na twarzy błyskawicę – nota bene znak nazistowski, a wiemy, że nazistowskie Niemcy słynęły z eugeni-

ki – a za kilka dni uczestniczy w czytaniu Pisma Świętego czy zbiórce na rzecz bardzo chorego dziecka. Kobiety, które nawołują za rozczłonkowaniem i rozszarpywaniem dziecka poczętego w łonie matki oraz aborcją farmakologiczną chcą zagłuszyć swoje sumienie poprzez zrobienie czegoś dobrego. To kompletna hipokryzja. Dla mnie osoba, która opowiada się, że jest za aborcją jest mordercą.

– **Można odnieść wrażenie, że ludzkość zmierza do samo-zagłady?**

– Tak. Dzisiaj na świecie walczy się o prawa zwierząt, owadów, drzew, a nie o prawo do życia nienarodzonych dzieci. Świat wartości został wyrwcony. Promuje się antykoncepcję prowadzącą do niepłodności, a potem metodę in vitro. Nikt sobie nie zadaje pytania co dzieje się z dziećmi poczętymi tą metodą. To jest walka dobra ze złem. Szatan nienawidzi życia i doskonale wie, że niszcząc, bezbronne dziecko zniszczy tym samym życie jego matce, rodzinie itd. Bóg jest dawcą życia, kocha każdego z nas i tylko on ma władzę, aby dawać życie i je odbierać.



Jesteś piękna – mówi Bóg do skrzywdzonych

TELEDYSK „JESTEŚ PIĘKNA” AUTORSTWA FREEDOM IS NEAR COLLECTIVE TO PROJEKT ALEKSANDRY JAROMIN. REŻYSEREM OBRAZU JEST MICHAŁ BERNARDYN. MA PRZYPOMINAĆ KAŻDEMU SKRZYWDZONEMU CZŁOWIEKOWI, ŻE ISTNIEJE BÓG, KTÓRY GO KOCHA. Z ALEKSANDRĄ JAROMIN ROZMAWIA PAWEŁ SKUTECKI

– Skąd pomysł na taki teledysk? Co co chodzi z tą akcją?

– Jak się to wszystko zaczynało, to sama zadawałam sobie takie pytanie. Jestem osobą, która posługuje w Domu Modlitwy Warszawa 24/7, znaczy to, że jestem codziennie na modlitwie. Prowadzę uwielbienia, z zespołem ludzi rozważamy Słowo Boże i modlimy się wstawienniczo o Polskę, Kościół i zbawienie Izraela. I tak przez miesiąc rozważaliśmy fragment z Pieśni nad pieśniami 1,5 („Śniada jestem lecz piękna” wg tłumaczenia Biblii Tysiąclecia, ale my oparliśmy się o tłumaczenie Passion Translation, gdzie odbywa się dialog między oblubieńcem, a oblubienicą) Pewnego dnia przyszły mi słowa, które zapisałam, refren i melodia. Wszystko jednego dnia. Wiedziałam, że to jest coś ważnego i że to jest dobre, ładne. Że to jest inspiracja od Boga.

– I co stało się później?

– Nagrałam wszystko na dyktafon i nie wiedziałam, co dalej mam z tym zrobić... Minęły ze trzy miesiące. Przewaliała się wtedy przez Polskę informacja o nadużyciach w Kościele Katolickim, film braci Sekielskich, przeróżne reakcje różnych środowisk... sam Pan pamięta, a kiedy już przeżyliśmy te trudne wydarzenia i emocje opadły w moje ręce wpadło jeszcze jakieś internetowe wyznanie jednej kobiety, że ona też była wykorzystywana... ale nie przez księdza, tylko przez ojca... Czytałam komentarze pod postem i wśród wielu znalazł się jeden, który mnie uderzył, bo brzmiał jak refren tej piosenki, którą zapisałam jakiś czas temu: Jesteś piękna! Wtedy, jakby połączyły mi się kropki, złapałam wizję. Oblubienica, wcześniej pojmowana przeze mnie jako obraz Kościoła, pokazała mi się teraz jako osoba, która przeżyła traumę, zraniona przez najbliższą osobę. I oblubieniec – Jezus, który wypowiadając słowa: Jesteś piękna – uzdrawia zranienia.

– Ta muzyka ma więc leczyć, czy odsyłać do Wielkiego Leżarza?

– Z mojej strony taki jest przekaz, teledysk mówiący o tym, że Bóg uzdrawia, szczególnie osoby wykorzystane, złamane, zranione bardzo głęboko. W trakcie realizacji teledysku coraz bardziej rozumiałam, że Bóg chce nam przypomnieć, że Jego pragnieniem jest, aby do Niego przychodzili wszyscy utrudzeni, chorzy, a On ich pokrzepi, uleczy.

– I to działa? Jaki ma Pani odzew?

– Na razie dostaję dużo info zwrotnych nie tylko o tym, że ludziom się podoba, bo ładne, ale że coś się w nich przemienia. Przykładowo napisała do mnie jedna kobieta, która leczy się na oddziale psychiatrycznym, że widziała transmisję prapremiery i słyszała modlitwy i uwierzyła, że Bóg ją uzdrawia. Wyznała, że była molestowana w dzieciństwie... Teraz jest w głębokiej depresji, ale z jej wypowiedzi płynęło tyle życia i nadziei...

– Przesłaniem jest więc przypomnienie, że istnieje Pan, który zawsze pomaga?

– Przypomnienie, albo ogłoszenie, że mamy Boga, który pragnie pełni życia (w radości, pokoju, miłości, sprawiedliwości) i chce nas do tego wydobyć z ciemnego gajdołka, który uznajemy za naszą pełnię. Inspiracją jest Pieśń nad Pieśniami – księga w Biblii, której formę określa się jako erotyk. Także to uzdrowienie odbywa się przez bliską relację z Bogiem, zjednoczenie z Nim. Jak i przez przyjęcie prawdy, którą On wypowiada: jesteś piękna.

– Teledysk jest bardzo profesjonalny, domyślam się, że pracowała nad nim rzesza osób...

– Za realizacją stoją ludzie, którzy chwycili wizję i przyłączyli się ze swoimi talentami, to Michał Bernardyn, Magdalena Jaworska, Basia Puchawska, Maciej Puchawski, Janek Sobierajski, Agnieszka Brudny, Marcin Misiak, Kasia Garbarz, Edyta Tombariewicz, Adam Chojnacki, Ania Stankiewicz, Kamila Bonder, Michael Oleksik, Mateusz Banasiuk... Michał Bernardyn, Magda Jaworska, Michał Oleksik, Mateusz Banasiuk mają duży wpływ na efekt końcowy i prawnie są współautorami projektu.

– To jednorazowa akcja, czy będzie kontynuacja?

– Sam teledysk jest pretekstem do rozmowy o trudnych tematach, ale nie po to, by wskazywać winnych, tylko modlić się o uzdrowienie zarówno ofiar, jak i krzywdzicieli. Kontynuację widzę jako spotkania modlitewne, w różnych parafiach, wspólnotach, na których razem, jako Kościół stajemy na modlitwie i doświadczamy mocy Bożego uzdrowienia, opierając się na Słowie Jr 30, 17: „Albowiem przywrócę ci zdrowie i z ran ciebie uleczyć”. I na innych. Biblia jest pełna tego typu obietnic. Niech nam się dzieje według naszej wiary.

Dragana Trifković o sytuacji w Serbii

DRAGANA TRIFKOVIĆ TO SERBSKA POLITYK, DZIENNIKARKA, A TAKŻE DYREKTOR CENTRUM STUDIÓW GEOSTRATEGICZNYCH. JAKO DZIENNIKARKA NA SWOIM KONCIE MA WIELE WYWIADÓW ZE ZNANYMI AKTYWISTAMI Z CAŁEGO ŚWIATA. W ROZMOWIE Z AGNIESZKĄ MALINOWSKĄ OPOWIADA O PROTESTACH W SERBII, A TAKŻE O ICH PRAWDZIWEJ PRZYCZYNNIE.

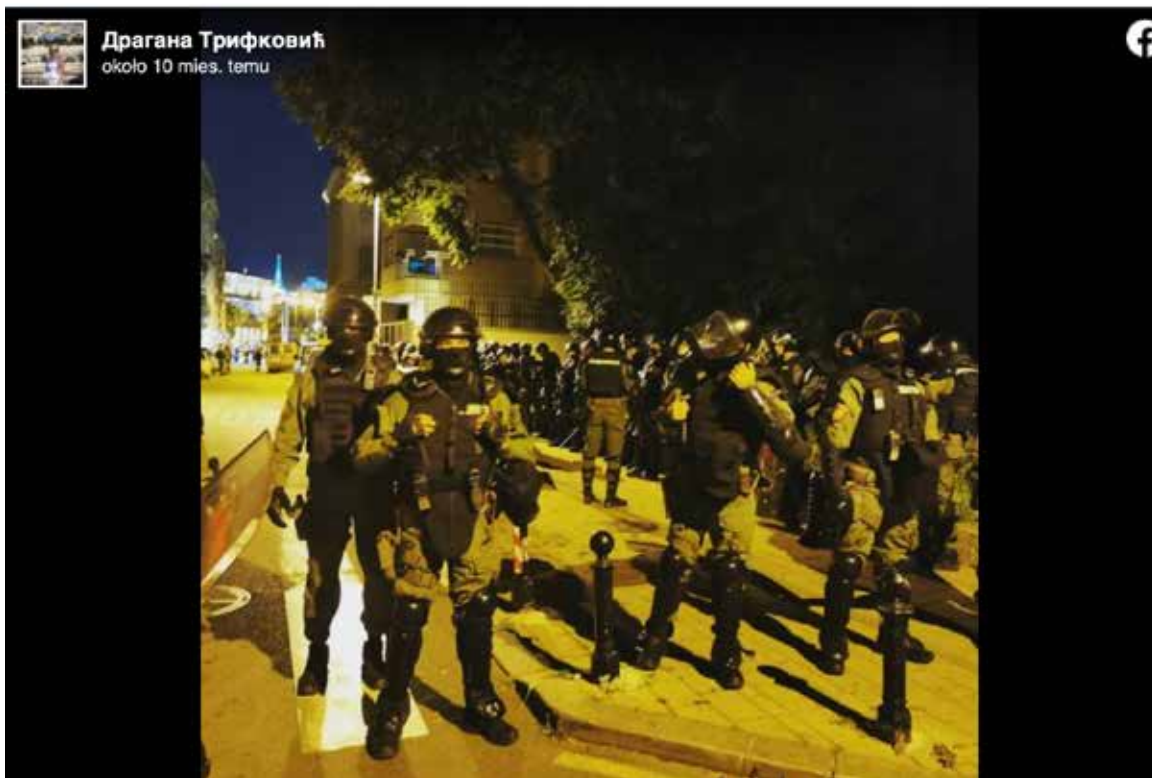
– O Serbii jest teraz bardzo głośno. Liczne protesty, którym jak informują media rząd ustępuje. Jakie jest Pani zdanie na ten temat?

– Spontaniczne demonstracje zostały sprowokowane przez prezydenta Aleksandra Vučića, który ogłosił przywrócenie obostrzeń dla obywateli Belgradu w związku z epidemią koronawirusa. Chodzi o to, że my w Serbii od miesiący mieliśmy najsurowsze obostrzenia w Europie, a następnie rząd zniósł wszystkie obostrzenia w celu przeprowadzenia wyborów, mimo że stanowiło to zagrożenie dla zdrowia. Następnie sytuacja zdrowotna pogorszyła się i dowiedzieliśmy się, że oficjalne dane dotyczące liczby pacjentów i zgonów spowodowanych przez koronawirusa zostały zmniejszone, aby poprawić sytuację i umożliwić przeprowadzenie wyborów. Co więcej, rząd stale stara się przenieść odpowiedzialność na obywateli, mimo że byli oni bardzo zdyscyplinowani i przestrzegali wszystkie środki ostrożności.

– Może przyczyna tych protestów jest znacznie głębsza?

– Tak przyczyna protestów jest znacznie głębsza. W społeczeństwie narosło wielkie niezadowolenie z polityki reżimu rządzącego, który anulował władzę wykonawczą, sądownictwa i władzę ustawodawczą oraz skoncentrował całą władzę w rękach prezydenta Serbii Aleksandra Vučića. W Serbii anulowano zasady demokratyczne, instytucje państwowe zostały zniszczone, a cenzura mediów została wprowadzona. Kraj ma poważny problem przestępczości i korupcji, które docierają na szczyt rządu, a sytuacja gospodarcza jest zła. Serbia stała się najbiedniejszym krajem w Europie. Młodzi ludzie opuszczają Serbię, ponieważ nie widzą tutaj przyszłości. To są wszystkie powody, dla których demonstracje w Serbii rozpoczęły się półtora roku temu. Ponieważ rząd nie próbuje rozwiązać wielu problemów, a je ukrywa, nieuniknione było wystąpienie wrzenia niezadowolenia. Myślę, że protesty będą trwały od jesieni z jeszcze większą intensywnością.

– Niedawno Komisja Europejska powiedziała, że niepokoi



ich brutalność policji, która stłumiła te protesty. Czy Komisja Europejska słusznie niepokoi się sytuacją w Serbii?

– Po raz pierwszy od demokratycznych przemian w Serbii, po 20 latach, policja użyła siły przeciwko protestującym obywatelom. Co gorsza, incydenty podczas demonstracji były spowodowane przez policjantów w cywilu i chuliganów wysłanych przez władze w celu sprowokowania starć. Stali na pierwszej linii obok linii policyjnych i zaczęli rzucać w policję butelkami, pochodniami i płotem, po czym policja strzelała gazem łzawiącym w demonstrantów i ścigała ich pałkami, kawalerią i pojazdami bojowymi po ulicach Belgradu. Niektórzy ludzie zostali ranni.

– Pojawiała się Pani także na tych protestach?

– Tak i widziałam kilku demonstrantów z zakrwawionymi głowami i gazem łzawiącym który, został wystrzelony w takich ilościach, że ludzie zaczęli mdleć. Z tych wszystkich powodów uważam, że reakcja Komisji Europejskiej jest całkowicie słuszna. Obywatele Serbii są również zaniepokojeni brutalnością policji, zwłaszcza wobec młodych ludzi, którzy licznie przybyli na demonstracje. Podczas demonstracji aresztowano ponad siedemdziesiąt osób, a ostatnio przed centralnym więzieniem w Belgradzie odbyła się demonstracja, w której zażądano natychmiastowego uwolnienia wszystkich pokojowo demonstrujących. Aresztowania to metoda zastraszania. Uważam jednak, że wszystko, co robi rząd, tylko jeszcze bardziej zwiększa niezadowolenie.

Rocznica ludobójstwa w Bośni, śladem Pomorza i Wołynia

W TYM SAMYM CZASIE OBCHODZIMY ROCZNICĘ LUDOBÓJSTWA DOKONANEGO NA POLAKACH PRZEZ UKRAIŃSKICH NACJONALISTÓW I ROCZNICĘ OSTATNIEGO EUROPEJSKIEGO SZALEŃSTWA, KTÓRE SKOŃCZYŁO SIĘ MASAKRĄ TYSIĘCY CYWILÓW. DUŻO ŁĄCZY TE DWIE DATY, PODOBNIIE JAK NIECO WCZEŚNIEJSZE WYDARZENIA ZWANE DZISIAJ ZBRODNIĄ POMORSKĄ.



O Wołyniu wiemy coraz więcej, domagamy się wciąż prawdy, której ukraińska strona nie chce przyjąć do wiadomości. To trudne rozmowy, ale one się toczą, raz lepiej, raz gorzej. Bandera będący dla nas zbrodniarzem, dla nich jest bohaterem narodowym – jednym z nielicznych... Minęło już 77 lat od tej zbrodni, a ofiary wciąż niemo krzyczą o prawdę.

W górskich okolicach bośniackiej Srebrenicy tragedia wydarzyła się później, raptem 25 lat temu. Historyczny, faktograficzny opis wydarzeń jest powszechnie znany, co zresztą nie pozbawia tlenu kilku naprawdę wiarygodnym teoriom spiskowym. Bezspornie w ciągu kilku lipcowych dni zostało zamordowanych, planowo i z zimną krwią, kilka tysięcy bośniackich muzułmanów. Sprawcami bez wątplenia byli bośniaccy Serbowie. Ale czy faktycznie to oni byli inicjatorami mordu? Czy miał on taką skalę, o jakiej dzisiaj mówimy? Tego pewnie nigdy się nie dowiemy.

Kiedy byłem tam trzy lata temu, ziemia wciąż krwawiła wstydem. Sąsiedzi mordowali sąsiadów, religia była tylko tłem, a jak stwierdził obserwujący wydarzenia na miejscu Tadeusz Mazowiecki, obie strony za nic miały prawa człowieka. Przejmująca jest cisza w promieniu co najmniej kilkunastu kilometrów wokół Srebrenicy. Przejmująca jest pustka w samym miasteczku, gdzie Serbowie i bośniaccy muzułmanie żyli wcześniej może nie w przejmującej przyjaźni, ale i bez noży w zębach. W samej Srebrenicy mieszkalem w pokoju wynajmowanym u... Żyda. Łamaną angielszczyzną, niechętnie odpowiadał, że mieszka tam od zawsze. Co oznacza „od zawsze” w miejscu, gdzie się wydarzyło piekło? Nie wiem. Czy jest możliwe, żeby w oku cyklonu, gdzie chrześcijanie z muzułmanami ścigali się w wyścigu do Nieba przeżył mieszkający prawie w centrum miasteczka, w dużym domu, poczciwy Żyd? Nie wiem.

Są co najmniej trzy okoliczności ludobójstw, nie wiem które z nich jest najstraszniejsze, ale na pewno to jedno najbardziej dowodzi istnienia Diabła.

Kiedy jeden naród chce unicestwić drugi, tak jak Niemcy robili z Polakami, Żydami, Romami i innymi – można to zrzucić na jakieś zbiorowe szaleństwo. W sukurs przychodzi wówczas nauka, która pomaga odhumanizować – odczłowieczyć – brudnego Polaka, Żyda, Cygana. Przestaje on być człowiekiem, staje się mniej niż zwierzęciem. Trudno to zrozumieć, ale historia pokazuje, że to działało...

Kiedy wewnątrz jednego narodu część Starszych i Mądrzejszych dochodzi do wniosku, że część niepotrzebną, zakałą narodu trzeba fizycznie wyeliminować, żeby cały naród rósł w siłę – tak jak to miało miejsce w Kraju Rad, w Chinach i reżimach Dalekiego Wschodu (ale i ostatnio w Państwie Islamskim) – można to opisać jako narodowy kanibalizm zmieszany z syndromem sztokholmskim.

Diabła widać najwyraźniej wtedy, kiedy sąsiad morduje sąsiada. Łopatą, karabinem, kamieniami, widłami. Tak jak „polscy Niemcy” z Selbstschutzu jesienią 1939 roku zakopywali w żwiru pod Świeciem 10 tysięcy ciał pomordowanych polskich sąsiadów. Tak jak Ukraińcy widłami mordowali polskich sąsiadów na Wołyniu. Jak bośniaccy Serbowie mordowali muzułmańskich sąsiadów 25 lat temu.

Te trzy zbrodnie nie wydarzyły się w zamierchłej przeszłości. Dwie z nich faktycznie miały miejsce ponad 70 lat temu, ale kiedy krzyczeli umierający Bośniacy większość z nas już żyła. To było naprawdę przed paroma chwilami.

Paweł Skutecki

Czy istnieje ideologia LGBT?

Ideologia to nic innego jak pojęcie występujące zarówno w filozofii i naukach społecznych jak i w politycznych. Pojęcie to określa zbiory poglądów służących do całościowego interpretowania i przekształcania świata. To wyjaśnienia encyklopedii PWN, co do której rzetelności nikt nie ma wątpliwości.

Skoro zbiór poglądów wyrażających interesy jakiejś klasy, mobilizujących ją do walki o władzę i uzasadniających utrzymanie władzy w celu przekształcenia rzeczywistości zgodnie z interesem tej klasy i jej widzeniem świata możemy nazwać ideologią np. ideologia burżuazji czy ideologia proletariatu, to czy możemy mówić o ideologii LGBT?

Wydaje się, że tak. Nie ulega wątpliwości, że pojęcie ideologii przeszło do języka potocznego i odnosi się do wszelkich idei poza teoriami ściśle naukowymi.

Zastanówmy się. Czy środowiska LGBT nie dążą do przekształcania świata? Czy nie chcą znaczących zmian w prawie? Czy nie zgłaszają wielu postulatów natury światopoglądowej? TAK.

Czy jest coś złego, coś nagannego w posiadaniu ideologii? NIE.

Jednym z postulatów, który ma przekształcić świat, czyli jest elementem ideologii, jest depenalizacja kontaktów homoseksualnych, które są karane w wielu krajach świata. Rodzaj tych kar jest różny, w zależności od kraju. Najwyższym wymiarem kary za kontakty homoseksualne jest niestety kara śmierci, zapisana w systemach prawnych następujących krajów: Afganistan, Arabia Saudyjska, Czeczenia, Iran, Jemen, Mauretania, Somalia, Sudan, Zjednoczone Emiraty Arabskie (z wyjątkiem emiratu Dubaj, gdzie za stosunek homoseksualny grozi 10 lat więzienia), w Nigerii (12 stanów). I słuszność tego postulatu nie ulega wątpliwości.

Kolejnym postulatem zmian w prawie jest umożliwienie zawierania małżeństwa przez osoby tej samej płci nazywane potocznie małżeństwami homoseksualnymi lub jednopłciowymi.

Środowiska LGBT wysuwają, w zależności od kraju, różne postulaty, które dotyczą m.in. możliwości odbywania służby wojskowej, istnienia procedury umożliwiającej korektę płci, możliwości formalnego uznania związku przez osoby homoseksualne (małżeństw lub związków partnerskich) lub adopcji dziecka znajdującego się pod opieką ośrodka państwowego (sierocińca) lub pasierba (dziecka partnera) przez osobę lub związek osób LGBT.

Zastanawiające jest też, dlaczego środowiska LGBT boją się pojęcia „ideologia LGBT”. Wręcz udowadniają, że nic takiego nie istnieje, że istnieje ewentualnie „ideologia gender”, ale „ideologia LGBT” nigdy w życiu.

Pojęcie „ideologia LGBT” nie jest polskim wymysłem. Nie stworzył go Andrzej Duda ani poseł Żalek. Pojawiło się ono na początku tego stulecia w Stanach Zjednoczonych i choć trzeba to przyznać, że nie w środowiskach LGBT, ale w amerykańskich pravicowych serwisach, to nie Polsce świat zawdzięcza to pojęcie.

Adam Leszczyński, na łamach OKO.PRESS, udowadnia, że nie ma ideologii LGBT, gdyż „ideologia LGBT”: nie jest ideologia

państwową żadnego państwa; nie ma partii politycznych, które ją wyznają (choć wiele wpisuje zakaz dyskryminacji osób LGBT do programów); nie opisuje historii świata ani całokształtu relacji społecznych; nie ma kanonicznych tekstów i nie istnieje jako żaden spójny system; nie ma wyznawców, którzy mówią o sobie „wyznajemy ideologię LGBT”; nie dąży do obalania przemocą czegokolwiek.

– W praktyce więc „ideologia LGBT” używana jest przez pravicę tak, jak jeszcze niedawno „ideologia gender” – oznacza po prostu zmiany obyczajowe (w tym sprzeciw wobec dyskryminacji osób LGBT), z którymi konserwatywna, religijna prawica się nie zgadza i które ją oburzają. To takie pojęcie-pojemnik, do którego można wrzucić wszystko. – podsumowuje Leszczyński.

Przeanalizujmy twierdzenie Adama Leszczyńskiego. „Ideologia LGBT” nie jest ideologią państwową żadnego państwa, ale wiele państw zrealizowało część postulatów podnoszonych przez środowiska LGBT, czyli zostały wpisane w ideologię i prawo tych państw.

„Ideologia LGBT” nie ma partii politycznych, które ją wyznają (choć wiele wpisuje zakaz dyskryminacji osób LGBT do programów). Tekst przed nawiasem przeczy temu w nawiasie, tu kłania się logika. Przecież również polskie partie lewicowe jak SLD, Wiosna czy Platforma Obywatelska podnoszą, jedne więcej inne mniej, postulaty środowisk LGBT i mają je wpisane do programów. Na stronie internetowej Wiosny możemy przeczytać: „Zagwarantujemy równość małżeńską dla wszystkich, niezależnie od płci. Dodatkowo, stworzymy możliwość zarejestrowania mniej sformalizowanego związku partnerskiego dwóch osób, który umożliwi korzystanie z praw, jak np. odwiedzin w szpitalu, dziedziczenie, wspólne rozliczanie podatków, i obowiązków, jak udzielanie wzajemnej pomocy.” (pisownia oryginalna).

„Ideologia LGBT” nie ma kanonicznych tekstów i nie istnieje jako żaden spójny system. Przeczytałem wielu różnych definicji „ideologii” i nie znalazłem wymogu posiadania kanonicznych tekstów, a co do spójności, to w mojej ocenie postulaty LGBT na całym świecie są spójne i egzystują jako system.

„Ideologia LGBT” nie ma wyznawców, którzy mówią o sobie „wyznajemy ideologię LGBT”. Tu trochę przewrotnie postawię pytanie: kim wtedy są środowiska aktywistów LGBT i kto organizuje parady równości?

„Ideologia LGBT” nie dąży do obalania przemocą czegokolwiek. W tej kwestii co do zasady się zgadzam, choć zdarzają się pojedyncze ataki aktywistów LGBT na ludzi o odmiennych poglądach.

W mojej ocenie działania i postulaty środowisk LGBT jak najbardziej wyczerpują znamiona szeroko rozumianej ideologii. I nie rozumiem, dlaczego środowiska LGBT i polska lewica tak oburza się na używanie w dyskursie publicznym pojęcia „ideologia LGBT”.

Latająca mama



MAGDALENA KOTOWICZ, GDY MIAŁA 6 LAT POLECIAŁA Z RODZICAMI NA WAKACJE. TO BYŁ JEJ PIERWSZY LOT W ŻYCIU. WTEDY ZAPRAGNĘŁA, ŻE KIEDYŚ BĘDZIE STEWARDESSĄ. DZIŚ SPEŁNIA SWOJE MARZENIA I OPISUJE SWÓJ PODNIEBNY I ZIEMSKI ŚWIAT NA INSTAGRAMIE JAKO @LATAJĄCA_MAMA. W ROZMOWIE Z MAGDALENĄ TARGAŃSKĄ ZDRADZA SWÓJ PRZEPIS NA SZCZĘŚLIWE ŻYCIE.

– Jak zaczęła się Twoja przygoda z lataniem?

– Gdy miałam 6 lat leciałam z rodzicami na wakacje. To był mój pierwszy lot w życiu. Panie, które obsługiwały nasz lot były tak urocze, uśmiechnięte i miłe, że byłam w nie wpatrzona jak w obrazek. Wtedy powiedziałam jej, że kiedyś będę stewardessą. Pamiętam to jak dziś, bo lot samolotem w tamtych czasach to było naprawdę wydarzenie. Po latach przypominała mi o tym Mama, dzięki której aplikowałam na to stanowisko.

– Czy linie lotnicze, w których obecnie pracujesz to były „te wymarzone”, czy opcja jedna z wielu?

– Totalny przypadek. Moja Mama zobaczyła ogłoszenie w gazecie. Z początku nie chciałam wysłać CV, bo byłam w trakcie sesji na studiach i nie miałam do tego głowy, ale gdy tylko ją zdałam, wzięłam się za życiorys. A że doświadczenia nie miałam, bo miałam 21 lat - widziałam się wtedy bardziej w agencji reklamowej lub banku. „w poważnej” pracy. Teraz sobie tego nie wyobrażam.

– Jakie dostrzegasz największe plusy i minusy pracy jako stewardessa?

– Nie wiem od czego zacząć (śmiej), może najpierw plusy: dla mnie największym jest system pracy. Pracując w systemie zmianowym mogę o wiele więcej załatwić. Nie muszę brać wolnego, aby załatwić sprawy urzędowe, na przykład. Oprócz tego to, że nie pracuję codziennie tyle samo godzin. Owszem, bywają długie dni, ale przychodzi czas, kiedy dzień pracy to 4 godziny, a reszta dnia jest wolna. Oczywiście jest też możliwość zwiedzania niesamowitych miejsc na pobytach, ale również dzięki preferencyjnym cenom biletów, prywatnych podróży. Nie mogę nie wspomnieć tutaj też o kolegach. Świetną opcją jest to, że prak-

tycznie codziennie pracujemy z kimś innym. Gdy ktoś nam nie przypadł do gustu, może się tak zdarzyć, że nie zobaczymy go przez kolejne pół roku. Za to, gdy kogoś polubimy to zaglądamy do grafiku, kiedy będziemy w końcu z nim lecieć.

Zdecydowanym minusem jest zmiana stref czasowych, co strasznie rozregulowuje organizm. Mi to zajęło chwilę, żeby nauczyć się, jak z tym sobie radzić i teraz już tego tak nie odczuwam, jak kiedyś. Minusy, które ja dostrzegam są bardziej widzialne pod kątem zdrowotnym, dlatego kolejnym jest to, że jesteśmy zamknięci w klimatyzacji przez parę dobrych godzin. A system w samolocie jest zamknięty, więc jest nam łatwiej się rozchorować, bo wszyscy oddychamy tym samym powietrzem.

– Latanie to jedno, ale jest jeszcze życie poza nim, co robisz, jak wrócisz „na ziemię”?

– Mówią, że bycie stewardessą to styl życia, a nie praca. To prawda. Mimo tego, że na ziemi prowadzę typowe życie mamy dwójki dziewczynek, to lotnictwo często się w nim przewija. Zaczynając od skrótów myślowych, które używam, kończąc na niektórych czynnościach, które ułatwiają mi latanie.

Ale jestem normalną dziewczyną, która ceni sobie w domu spokój, dobry film czy książkę. Co prawda, przy mojej dwójce jest ciężko aktualnie o spokój, ale staram się wieczorem mieć chwilę dla siebie, bo cały dzień działałam na wysokich obrotach. Jestem bardzo energiczna i lubię, gdy dużo się dzieje. Wtedy czas szybko leci. Myślę, że dlatego odnajduję się w mojej pracy.

– Jak radzisz sobie z połączeniem życia zawodowego z prywatnym?

– Zawsze to powtarzam: organizacja, planowanie i jeszcze więcej organizacji. Jestem w stanie mieć ułożony cały rok: wakacje,

ferie, urodziny, święta. Pod koniec roku siadam z kalendarzem i planuję. Nie będę tutaj nic dodawać, bo nie mam co. Po prostu staram się wszystko zaplanować dużo wcześniej. O ile w pracy żyję z dnia na dzień, tak w domu muszę mieć wszystko pod kontrolą. Jak widać to działa, więc mogę powiedzieć, że to się sprawdza.

– Jak dziewczynki sobie radzą, kiedy mamy nie ma w domu?

– Nadzwyczaj dobrze. Lusia - moja starsza córeczka - jest przyzwyczajona do tego, że mnie nie widzi przez parę dni. Teraz jest o tyle łatwiej, że pracuję w mniejszym wymiarze czasu i zawsze wtedy, kiedy jest ona ze swoim tatą (nie żyjemy razem). A młodsza - Zuzia - nie jest jeszcze tak do końca świadoma, bo ma skończone dwa lata i dla niej moje wyjście z domu ma takie samo znaczenie czy idę do pracy, czy do sklepu. Zawsze tak samo cieszy się, gdy wracam z zakupami, czy z walizką. Myślę, że jest to kwestia przyzwyczajenia dziecka i naszego nastawienia. Jeśli będziemy robić z takiego dłuższego wyjazdu nie wiadomo jaką „szopkę”, to dziecko będzie to tym samym bardzo przeżywać. Jeśli natomiast potraktujemy to jak naszą codzienność, to dziecko do tego przywyknie.

– W związku z tym, że nie jest to praca jak każda inna, jak linie lotnicze podchodzą do tematu posiadania dzieci?

– Posiadanie dzieci po kilku latach latania to naturalna kolej rzeczy. Zazwyczaj, gdy zaczyna się latać jest się młodym (na studiach czy zaraz po ich ukończeniu), ale później z biegiem lat chce się założyć rodzinę i mieć dzieci, więc każdy pracodawca musi się z tym liczyć. Nie spotkałam się jeszcze z opinią wśród moich latających koleżanek, że pracodawca inaczej potraktował którąś z nich. Wręcz przeciwnie. Dla linii lotniczych pracownik bardziej świadomy i racjonalny jest lepszym zasobem. W kraju, w którym pracuję dodatkowo mamy więcej przywilejów jako rodzic, jak np. dodatkowe dni wolne przysługujące, gdy dziecko jest chore.

– Opowiedz jedną historię z życia stewardessy, którą zapamiętasz na długo.

– Było ich nawet parę, ale chyba najbardziej zapamiętałam lot w jeden z marcowych poranków na trasie Warszawa-Stavanger (miasto w Norwegii).

To miał być miły i łatwy dzień, po którym miałam pędzić na uczelnię... jednak po starcie zostałam poproszona do kokpitu. Wiedziałam, że coś się dzieje, bo sygnalizacja zapiąć pasy była nadal włączona. Gdy otworzyłam drzwi, rzuciło mi się w oczy pęknięcie szyby po stronie pierwszego oficera. Nie wróżyło to nic dobrego. Na szczęście jesteśmy szkoleni na takie sytuacje, a szczególnie załoga kokpitowa. Gdy osiągnęliśmy wysokość, na której mogliśmy pozostać i bezpiecznie zacząć zawracać, kapitan poinformował pasażerów o tym co się dzieje, choć część z nich już wiedziała, że coś jest nie tak, bo zaczęliśmy skręcać i zataczać koło w powietrzu. Pamiętam ciszę na pokładzie po zapowiedzi kapitana. Kiedyś myślałam, że taka sytuacja powoduje stres i harmider. Jest odwrotnie. Na szczęście wszystko skończyło się dobrze i bezpiecznie wylądowaliśmy w Warszawie, ale gdy weszłam po lądowaniu do kokpitu, szyba była popękana w drobny mak. Nic się oczywiście nie stało, bo składa się z wielu warstw, ale wiadomo, że musieliśmy trzymać się wszystkich procedur bezpieczeństwa.

– Jakie masz rady dla osób, które chciałyby dołączyć do załogi linii lotniczych?

– Nie poddawać się. Dążyć do spełnienia swojego marzenia. To, że nie przyjmą Cię do jednej linii nie znaczy, że do drugiej się nie dostaniesz. Trzeba pamiętać, że linie lotnicze mają swoje wymagania. W jednej mogą bardziej stawiać na aparycję, a w innej większym atutem będzie znajomość kilku języków. Trzeba próbować do skutku. Tylko tak się spełnia swoje marzenia.



– Czy trudno jest dostać się do zespołu?

– Trzeba spełnić wszystkie wymagania, jakie stawia linia i przejść poszczególne etapy rekrutacji. To tyle. Ten zawód w Polsce nadal jest owiany nutą tajemniczości. Zostało nam to trochę ze złotych czasów LOT'u. Przez lata jednak ten zawód diametralnie się zmienił. Zresztą tak jak całe lotnictwo. I w związku z tym zmieniły się też wymagania rekrutacji.

– Na pokładzie samolotu pracujesz już sporo czasu, czy mając już wiedzę i doświadczenie jak wygląda ta praca, podjęłabyś jeszcze raz decyzję, że chcesz zostać stewardessą?

– Bez wahania. Ale to dlatego, że to uwielbiam. Gdybym tego nie kochała, nie czułabym się tam komfortowo, a przychodzić do pracy z poczuciem, że robię coś „z musu” nie jest dla mnie i mam nadzieję, że tego nigdy nie doświadczę.

– Czy są jakieś linie lotnicze, w których chciałabyś pracować? Jeśli tak dlaczego?

– Żadnej konkretnej nazwy Ci nie podam, bo uważam, że pracuję dla jednych z najlepszych linii na świecie, ale to wynika z tego, że jest mi w nich dobrze. Moi koledzy i koleżanki są zawsze pomocni i dużo przyjaźni idzie ze mną przez życie. Nie jestem typem karierowiczki, która koniecznie chce wpisać daną nazwę do swojego CV. A jakie mam marzenie? Może kiedyś praca dla małych prywatnych linii biznesowych. To marzenie chyba polega na tym, że widzę się tam, tak jak teraz widzę się w liniach w których pracuję.

Szczepienia na płaskiej Ziemi

Tematem naszych codziennych rozmów stały się niedawno szczepienia covidowe. Który producent przesłał więcej, a który się spóźnia? Czy i czym zaszczepią się prezydent i premier? Kto wszedł bez kolejki?

Siłą rzeczy na dalszy plan zszedł temat szczepienia dzieci – tego tradycyjnego, odbywanego według „kalendarza szczepień”. A przecież temat ten nie zniknął. I obawiam się, że jeżeli w ostatnim czasie sytuacja opisana w poniższym tekście zmieniła się, to raczej na pewno nie na lepsze...

* * * * *

Łukasz Lamża jest dziennikarzem, wykładowcą, autorem tekstów demaskujących pseudonaukowości, które funkcjonują w społeczeństwie. W wydanej w 2020 książce* omawia 10 takich teorii. A właściwie nie tyle omawia, co analizuje, patrząc na nie przez pryzmat współczesnej nauki. Cudownie, tak właśnie powinno być. Za tę książkę otrzymał Złotą Różę – nagrodę przyznaną przez Festiwal Nauki za najlepszą książkę popularnonaukową.

Mnie w tej pozycji najbardziej zaciekał rozdział o szczepionkach. Pewnie nie zdecydowałbym się na publiczne przedstawianie moich refleksji po lekturze, gdyby nie jeden szczegół, który może zainteresować osoby stojące po obu stronach dyskusji o szczepieniach. (Zwracam uwagę na słowo „dyskusja”, bo są przecież osoby, jakże liczne, które w celowość szczepienia „wierzą” bądź „nie wierzą” – one żadną dyskusją nie są zainteresowane, a wręcz uważają, że w świetle ich wiary takie dyskusje są świętokradcze).

Zanim jednak przejdę do sedna, pozwolę sobie na uwagę wstępną. Otóż oprócz szczepionek czy witaminy C w dużych dawkach bohaterami rozdziałów tej książki są m. in. kreacjonizm czy płaska Ziemia (która jest nawet wymieniona w podtytule książki). Postawienie płaskiej Ziemi i wątpliwości wobec powszechnych szczepień na tym samym poziomie jest, moim zdaniem, bardzo tanim chwytem, oczkiem puszczone do pewnej grupy czytelników – zabieg ten nie ma przecież na celu nobilitacji płaskoziemstwa, lecz obliczony jest na efekt w drugą stronę: ma pokazać czytelnikom, jeszcze zanim zaczną lekturę, gdzie autor sytuuje szczepionkowe wątpliwości.

Spółeczeństwo chce wiedzieć, jakie skutki – te pozytywne i te negatywne – są powodowane przez szczepionki. Społeczeństwo ma prawo to wiedzieć, bo przecież mówimy o naszym zdrowiu, w tym o zdrowiu naszych dzieci. Dlatego władze sanitarne mają obowiązek to badać. Badać możliwie rzetelnie, by przedstawiane nam wyniki były wiarygodne. Idea takiego badania jest prosta: należy porównać liczbę wszystkich zaszczepionych z liczbą przypadków, gdy coś poszło nie tak. Po podzieleniu tej drugiej przez tę pierwszą otrzymamy odsetek szczepień powodujących problemy. Niewielki odsetek będzie oznaczać, że dana szczepionka jest bezpieczna. (Kwestia jej skuteczności to zupełnie inna sprawa, nie będę się nią tu zajmował).

Liczba wykonanych szczepień jest łatwa do ustalenia – wszystkie szczepionki przechodzą przez oficjalne kanały, nie ma miejsca na kontrowersje. Zostaje zatem licznik interesującego nas



ułamka. Jest nim liczba NOP-ów (czyli niepożądanych odczynów poszczepiennych – czyli problemów). Źródłem informacji są tu aplikujący szczepionki pracownicy służby zdrowia, a ich wiedza pochodzi od samych zaszczepionych (bądź, w przypadku dzieci, od ich rodziców). I tutaj (wreszcie...) dochodzę do tego, czym chciałbym się podzielić z Czytelnikami. Gdy dotarłem do fragmentu, który zaraz zacytuję, nie mogłem uwierzyć, że osoba inteligentna i oblatana, jaką bez wątpienia jest p. Lamża, mogła wbić sobie takiego samobója: przekonując do szczepionek dał sceptykom i przeciwnikom do ręki pierwszorzędnny argument. Oto ten fragment:

(...) ja sam, przy okazji szczepienia jednego ze swoich dzieci, bezskutecznie próbowałem zgłosić w przychodni niepożądany odczyn poszczepienny. Parę godzin po podaniu szczepionki u mojego dziecka pojawiły się odczyn miejscowy oraz podniesiona temperatura i wymioty. Nic strasznego, rodzic dwójki dzieci nie takie rzeczy widział, postanowiłem jednak zgłosić NOP. Przyjmująca zgłoszenie pielęgniarka – ta sama, która szczepiła – najpierw odparła odruchowo, że „to raczej nie ma związku”, po czym – gdy delikatnie zasugerowałem, że nie jej to oceniać, a wyłowieniem związków przyczynowych z korelacji niech już się zajmują statystycy – zbyła mnie lekceważącym: „Dobra, dobra, zgłośzę”. Podejrzewam, że ten konkretny NOP nie trafił do statystyk. Tak, pewnie powinienem był naciskać, nalegać, gonić, ale szczerze mówiąc, nie zrobiłem tego, bo miałem na głowie rozgorączkowane dziecko, a następnego dnia kolejne ważne sprawy tego świata, z nowym serialem włącznie.

Bezpieczeństwo szczepionki można stwierdzić dopiero po przeanalizowaniu wielu, wielu przypadków. Wystąpienie niepożądanych objawów u jednej zaszczepionej osoby nie jest jeszcze wystarczające, by wyciągać daleko idące wnioski. Ale stwierdzenie przez lekarza bądź pielęgniarkę, że te czy inne objawy nie mają związku z podaną szczepionką, jest fałszowaniem statystyk! Przecież ewentualny związek może się objawić dopiero w masie, po przeanalizowaniu bardzo dużej liczby szczepień. Skąd pielęgniarka czy lekarz wiedzą, że nie ma związku? Czy przypadkiem nie z ulotki dostarczonej przez producenta? Nie zgłaszając powi-

kłania do władz sanitarnych, lekarz czy pielęgniarka wpływają na wynik badania. Z faktu tego p. Lamża doskonale zdaje sobie sprawę, bo przecież sam o tym pisze! Przypomnę: „...zasugerowałem, że nie jej to oceniać, a wyłowieniem związków przyczynowych z korelacji niech już się zajmują statystycy”. I ma całkowitą rację, bo takich pielęgniarek i takich lekarzy może być cała masa i jeżeli każde z nich stwierdzi arbitralnie, że „nie ma związku” i NOP-u nie zgłosi, to – świadomie lub nie, celowo lub nie – przyczyni się do fałszowania statystyk.

Powstaje jednak pytanie: czy jest o co kruszyć kopie, czy jest to zjawisko na tyle częste, że może mieć istotny wpływ na naszą ocenę bezpieczeństwa szczepionek? Z lektury forów poświęconych szczepieniom można wnosić, że takich przypadków rzeczywiście jest cała masa. Co więcej, spotkać też można wypowiedzi, że niechęć lekarzy do zgłaszania NOP-ów jest wywoływana (przynajmniej częściowo) przez sanepidy, mające jakoby sekować medyków zbyt aktywnych na tym polu. Gdyby to była prawda, to mielibyśmy do czynienia z działaniem niezgodnym z prawem i powinno to zostać zbadane przez stosowne organa państwowe. No, ale... wiemy, że fora internetowe nie są najbardziej wiarygodnym źródłem informacji. Na szczęście mamy też źródło o nieporównanie większym kalibrze.

Całkiem niedawno, w listopadzie 2020, Najwyższa Izba Kontroli opublikowała raport zatytułowany „NIK o systemie monitorowania niepożądanych działań leków”. NOP-y, którymi w tym tekście się zajmuję, są częścią szerszej kategorii NDL (niepożądanych działań leków) i wnioski wyciągnięte przez kontrolerów

NIK dotyczą również ich. A wnioski te są bardzo smutne. Już we wcześniejszych kontrolach prowadzonych w latach 2016-2019, NIK stwierdziła, że zgłoszeń ndl nie przekazywano do właściwych instytucji oraz do aptek szpitalnych lub przekazywano je ze znacznym opóźnieniem.

W trakcie obecnej kontroli monitorowania ndl stwierdzono, że żaden ze skontrolowanych szpitali nie zadbał o prawidłowe funkcjonowanie systemu wychwytywania, zgłaszania i analizowania niepożądanych działań leków.

W sytuacji, gdy pracownicy medyczni nie uznawali niepożądanych reakcji polekowych za ndl, chociaż zapisy w dokumentacji medycznej na to wskazywały, to organy właściwe do ich monitorowania nie wiedziały o ich występowaniu. To osłabiało system.

To tylko niektóre wnioski. Kto jeszcze ma wątpliwości, zachęcam do przeczytania całości (www.nik.gov.pl/aktualnosci/system-monitorowania-niepožadanych-dzialan-lekow.html).

* * * * *

I jeszcze na marginesie: w tekście p. Lamży znalazłem także taki akapit:

Dalej: szczepienie powinno być poprzedzone kwalifikacyjnym badaniem lekarskim. „Teoria” takiego badania jest dobrze znana. Praktyka z kolei bywa różna. Spotkałem się osobiście nawet z całkowitym brakiem takiego badania, które w praktyce wymusiłem już w momencie, gdy pielęgniarka sięgała do lodówki.

Pozwolę sobie pozostawić bez komentarza.

Bogdan Jot

Pan Bóg ma wciąż bardzo dobry słuch

Jesienią 2004 roku moje możliwości radzenia sobie z przeciwnościami wyczerpały się. Stałam przed ścianą. To nie było moje lenistwo, wygodnictwo, oczekiwanie, że inni przeżyją za mnie życie, a ja gdzieś na poboczu przeczekam bezpiecznie. Poczulałam się ogromnie słaba i bezsilna, wyczerpana. To nie to, że byłam samotna. Nie byłam, ale czułam się okropnie samotna. Czy ja zawsze muszę mieć koło siebie nieodpowiedzialnego człowieka? Czy ja chcę zbyt wiele?

Zdecydowałam się odbyć ostateczną rozmowę z Panem Bogiem i przedstawić Mu mój punkt widzenia:

– Ja się Panie Boże nie lenię i nie rozczulam nad sobą, ale już nie daję rady z takim życiem. Nikt mi nie jest w stanie pomóc, tylko Ty. Nie możesz, ot tak, wysłać mnie jak paczkę w tak trudne warunki i oczekiwać, że dam sobie radę. Ja już sobie rady nie daję. Jeśli mi nie pomożesz, to popełnię samobójstwo i to nie będzie moja wina, tylko Twoja. Wiem, że to niesłychane tak mówić do Ciebie, Wielkiego Boga, ale nie mam innego wyjścia. Ja Ciebie nie szantażuję, tylko informuję, że już nie daję rady z takim życiem. Nie daję rady. Słyszysz?

Wokół była zupełna cisza, dzwoniło w uszach, Pan Bóg nie odpowiadał. Dałam sobie około miesiąca na znalezienie odpowiedniej metody pozabawienia się życia. Skakanie z mostu nie wchodziło w grę – nie lubię zimnej wody w fjordzie. Powieszenie też nie – nie było odpowiedniego mocowania dla sznura zdolnego utrzymać prawie 70 kg, a poza tym to takie nieeleganckie. Przeglądałam w pamięci metody popełniania samobójstw, o których uczyłam się na medycynie sądowej na studiach lekarskich i trudno było znaleźć coś odpowiedniego akurat dla mnie. No, ostatecznie podcięcie żył można było rozważyć. Śmiercionośne tabletki nie były osiągalne, nikt by mi ich nie zapisał w ilości gwarantującej sukces. Stało na podcięciu żył z następowym wykrwawieniem. Byłoby to trochę jak z Petroniuszem w „Quo

Vadis” Henryka Sienkiewicza, romantycznie i patetycznie. Już zdecydowałam jak, ale jeszcze czekałam, bo do końca miesiąca zostało kilkanaście dni.

Aż tu nagle przed wieczorem zadzwonił telefon. Rozmówca prosił o pilną wizytę lekarską. Dzwoniącym okazał się znany powszechnie w mieście człowiek obsypany pięknymi czerwonymi plamkami od stóp do głów. Zdecydowanie wymagał on pilnej pomocy medycznej. Tak narodziła się nasza wieloletnia przyjaźń, dzięki której odstąpiłam od zamiaru popełnienia samobójstwa.

Nie zżymajcie się na choroby, znoście je cierpliwie. One czemuś służą, chociaż nam trudno jest to zrozumieć. Niezbadane są drogi i sposoby działania Pana Boga. Jedno jest pewne: On wciąż ma bardzo dobry słuch.

Wydawało mi się, że ta historia jest mimo wszystko optymistyczna. Całą sprawę złożyłam w ręce Pana Boga, a On wyrwał mnie śmierci. Wysłałam tekst do katolickiej gazety, w której już coś wcześniej publikowałam. Trochę znajomy redaktor zakwalifikował go do druku w dziale „świadectwa” i już-już miał się ukazać drukiem. Na wszelki wypadek poproszono psycholożkę o opinię, która okazała się być niejednoznaczna. Uznano, że historia ta może zostać odebrana wbrew moim i Redakcji intencjom przez rodziny osób, które skutecznie targnęły się na swoje życie. Z ostrożności tekst wycofano. No cóż, rodziny mogłyby uznać, że Pan Bóg mnie faworyzuje i przybywa z pomocą, a tu przecież ma być demokracja, prawa człowieka i któż wie co jeszcze.

A ja się zastanawiam, czy ci skuteczni samobójcy zwracali się do Pana Boga o pomoc, czy w rozpaczy uznali, że wezmą sprawę w swoje ręce. A jak człowiek wyłącznie na sobie polega i sam próbuje rozwiązać tak ważny problem, to efekt może być taki, że ich rodziny w swoim żalu będą się czuć zawiedzione i będą oskarżać Pana Boga o nieobecność...

Barbara Gąsior-Chrzan

Rzeczpospolita Dziadowska

„Za 6 tys. złotych pracuje tylko idiota albo złodziej” – m.in. te słowa wicepremier Elżbiety Bieńkowskiej uwiecznione na tzw. „taśmach z Sowy i Przyjaciół” doprowadziły do upadku rządów formacji Donalda Tuska. Prawo i Sprawiedliwość zyskało wówczas solidną podstawę do przejścia sterów w państwie jako partia „zwykłych Polaków”.

Minęło kilka lat. Rząd Zjednoczonej Prawicy pod przewodnictwem Beaty Szydło znalazł się pod ostrzałem Ośmiorniczkowców z powodu nagród przyznanych urzędnikom jako zwyczajowy dodatkowy składnik wynagrodzenia. Szarża z 2018 r. niewiele jednak dała nowej opozycji. Prawo i Sprawiedliwość w tamtym czasie surfowało na fali zadowolenia społecznego spowodowanego niespotykanym dotąd w III RP rozdawnictwem socjalnym. Skorzystało z rozpowszechnienia się myślenia wedle zasady „może i też kradną, ale przynajmniej dzielą się łupem z ludźmi”. Ponadto Totalsi w swojej retoryce przeciwnej wysokim apanażom pozostawali niewiarygodni. Pamięć o Aferze Taśmowej była w tamtym czasie wciąż żywa. Ostateczne zwycięstwo PiS w bitwie sprzed dwóch lat przypieczętowała decyzja Jarosława Kaczyńskiego o obniżeniu wynagrodzeń parlamentarnych. Czas zaciera jednak ślady pamięci. Skutecznie pomogła mu w tym trauma związana z COVID-19.

Rafał Trzaskowski występując z inicjatywą ustawy skromnościowej znajduje się w znacznie lepszej sytuacji niż inni politycy Platformy Obywatelskiej w 2018 r. Nie był aktorem spektaklu ośmiorniczkowego przed sześcioma laty, a wizerunek PiS jako partii „zwykłych Polaków” kruszy się, czemu wyraz dał Kazik w piosence „Twój ból jest lepszy niż mój”. Ostatnie zjawisko dostrzega chyba nawet sam Naczelnik, ponieważ kurs kampanii Prezydenta Andrzeja Dudy coraz bardziej zbacza ze ścieżki socjalnych transferów w kierunku inwestycji – oczywiście w neosocjalnym, etatystycznym stylu.

Czy to oznacza, że kandydat totalnej części opozycji zyska na przejściu narracji Zjednoczonej Prawicy? Trudno orzec.

Z jednej strony grubszy – choćby tylko nominalnie i dzięki transferom socjalnym – własny portfel zniechęca do krytycznego patrzenia na wysokie zarobki innych. Do tego sam Rafał Trzaskowski, delikatnie pisząc, nie uchodzi za polityka skutecznego ani wiarygodnego.

Z drugiej strony nowy-stary postulat wpisuje się w bardzo szkodliwy nurt „Rzeczpospolitej Dziadowskiej” zakorzeniony w polskiej debacie publicznej na długo przed Aferą Taśmową. Przyczynił się m.in. do wypadku rządowego śmigłowca w 2003 r. z udziałem ówczesnego Premiera Leszka Millera.

Kampania wyborcza ma swoje prawa. Każdy ubiega się o jak największą liczbę głosów, więc kandydaci zgłaszają rozmaite propozycje. Jedne lepsze inne gorsze, z czym należy się pogodzić. Każdy, kto promuje „Rzeczpospolitą Dziadowską” definitywnie traci jednak swój głos.

Obniżenie pensji w spółkach Skarbu Państwa z pewnością nie zachęci najwyższej klasy fachowców do poszukiwania w nich pracy. Trudno się zresztą dziwić podobnemu zjawisku. Wysokie, cenne na danym stanowisku kwalifikacjami powinny zostać odpowiednio wynagrodzone. Niestety w odwrotną stronę mechanizm ów nie do końca działa. Radykalne podwyżki płac same z siebie nie przyniosą poprawy funkcjonowania sfery publicznej. Wystarczy popatrzeć na ogromne zarobki w instytucjach unijnych oraz na jakość ich pracy. Na nic zda się zachęta pieniężna, jeżeli właściwe osoby nie będą miały szans pełnić właściwych funkcji. Potrzebne jest jeszcze opracowanie obiektywnych procedur ich wyłaniania. Uznaniowa władza kierownictwa partyjnego sprzyja natomiast lojalnym żołnierzom albo kolegom, a kwestię kompetencji spycha na dalszy plan. Zmiana owego stanu nie leży w interesie głównych sił politycznych od początku istnienia III RP. Dlatego uwagę Polaków odwraca się promowaniem tematów zastępczych. Głośno obniża się podstawowe składniki pensji w sferze publicznej, ale po cichu wytrząsa drobniaki z kolejnych kieszeni na dodatkowe apanaże. W rezultacie nie można bez lamentu medialnego kupić porządnych samolotów, śmigłowców i innego sprzętu dla VIP-ów, armii lub innych służb mundurowych. Krótko mówiąc „dziaduje się” w sprawach istotnych. Dotyczy to także polskiej nauki, ochrony zdrowia i oświaty, które w rankingach światowych wypadają słabo. Logiczną konsekwencją spadku lub zamrożenia podstawowych zarobków w jednej części budżetówki jest bowiem zrobienie tego samego w pozostałych jej działach – a zaskórniaków nie rozdaje przecież wszystkim. Część naukowców, lekarzy i nauczycieli chcących zarabiać na poziomie adekwatnym do swojego wykształcenia i umiejętności musi zatem dorabiać poza jednostką macierzystą, brać dodatkowe dyżury i prowadzić korepetycje, co odbija się na ich działalności podstawowej.

Konkluzja nasuwa się sama. Wspomniane „dziadowanie” bardziej szkodzi niż pomaga. Jeżeli państwo nie umie powstrzymać się od ingerencji w jakąś sferę (choć w wielu przypadkach powinno), niech przynajmniej z otwartą przyłbicą przyzna, że jakość kosztuje. No właśnie... jakość, a nie znajomość czy lojalność działaczy partyjnych – niezależnie od ich przynależności. Ograniczmy zatrudnienie, ale za to godnie odpłacajmy najlepszych.

Jak odejść od modelu „Rzeczpospolitej Dziadowskiej”? To, Drogi Czytelniku, rozważyć musisz samodzielnie. Sugeruję przemyślenie udzielenia poparcia innej sile politycznej niż dwa główne od 30 lat obozy co pewien czas zmieniające dla niepoznaki swoje nazwy. One tylko wymieniają się stołkami oraz postulatami. Pamiętaj hasło „Nie róbmy polityki, budujmy...”? Kiedyś lansowała je Platforma Obywatelska, dziś w innej formie robi to Prawo i Sprawiedliwość.

Publiczne, czy prywatne?

Czy pamiętasz Drogi Czytelniku tzw. sprawę drukarza z Łodzi z 2015 roku? Wtedy to pracownik jednej z łódzkich drukarni odmówił wykonania usługi dla Fundacji LGBT Business Forum. W mediach rozgorzała wówczas dyskusja nad dopuszczalnością podobnego zachowania.

Nie obyło się także bez zaangażowania Rzecznika Praw Obywatelskich, Policji, sądów powszechnych, a nawet Trybunału Konstytucyjnego (TK). Losy drukarza na płaszczyźnie procesowej były zmienne. Ostatecznie szalę na korzyść przedsiębiorcy i jego pracownika przechylił dopiero wyrok TK, w którym art. 138 Kodeksu wykroczeń, wskazywany jako podstawa prawna ich ukarania, został uznany za częściowo niezgodny z Konstytucją RP z 1997 r.

Problem prawny w tej sprawie dotyczył podstaw ustroju gospodarczego naszego państwa. Stosowny fragment przepisu stanowił bowiem o zakazie odmawiania spełnienia świadczenia bez uzasadnionej przyczyny, pomimo istnienia stosownego zobowiązania. I tu pojawia się pytanie zadane w tytule niniejszego felietonu. Czy przedsiębiorstwo – jakiegokolwiek, drukarnia, piekarnia, fabryka – jest dobrem publicznym, czy prywatnym? Jeżeli to pierwsze, to sam fakt jego istnienia powinien powodować, że przedsiębiorca musi zaspokoić potrzeby klienta mieszczące się w ramach działalności gospodarczej bez względu na swój stan zdrowia, humor, płynność finansową – ma służyć jak urząd, sąd, wojsko, Policja oraz pozostałe instytucje publiczne. Jeżeli to drugie, do powstania obowiązku świadczenia potrzebna jest umowa, a tę przedsiębiorca może zawrzeć, ale może też tego nie zrobić (swoboda zawierania umów). Warto w tym miejscu zaznaczyć, że umowę zawiera się nie tylko na piśmie, ale najczęściej wystarczy dowolne zachowanie przemawiające za tym, iż chce się dokonać jakiejś transakcji. Nie trzeba nawet wypowiadać szczególnych słów.

Co wziąć pod uwagę zastanawiając się nad wskazanym zagadnieniem? Jest kilka czynników. Należy rozważyć, czy przedsiębiorca ma władzę nad klientem w tym sensie, że może wydać wobec niego wyrok, decyzję administracyjną lub zastosować przymus bezpośredni. Czy przedsiębiorca jest stale utrzymywany z podatków? A może w działalności wykorzystuje własny kapitał albo ryzykuje dobrobytem swoim i swoich najbliższych opierając się na kredycie? Po co uruchamia się przedsiębiorstwo – dla zysku czy dla służenia społeczeństwu? Czy przedsiębiorca rozpoczyna działalność wykonując nakaz ustawowy, sądowy lub administracyjny, czy też z własnej inicjatywy? W czym imieniu działa przedsiębiorca – własnym, czy państwa albo samorządu terytorialnego? Zastanawiając się nad tymi kwestiami chyba już wiesz Drogi Czytelniku, że wspomniana drukarnia, piekarnia i fabryka przeznaczone są dla tego, kto je prowadzi, a nie dla ogółu, klientów albo pracowników. Oczywiście roztropny przedsiębiorca musi dbać o swoje otoczenie, bo inaczej szybko zbankrutuje. To do niego powinna jednak należeć ostateczna decyzja z kim i jakie chce zawierać umowy, kogo obsłużyć, a komu podziękuje za jego pieniądze. Jeżeli nawet uznać odmowę dokonania transakcji za zachowanie naganne, to odmawiający właściwie sam siebie automatycznie karze. Traci bowiem zarobek, jaki uzyskałby z wykonania umowy. Grozi mu też utrata wielu klientów oburzonych jego decyzją. Takie powinno być właśnie ryzyko przedsiębiorcy. Podsumowując krótko – nie ma umowy, nie ma obowiązku świadczenia. Powoływanie się na art. 138 Kodeksu wykroczeń jako podstawę do przymuszenia kogokolwiek do wykonania

usługi bez wcześniejszego porozumienia było więc bezzasadne. Wyjątek stanowią podmioty o pozycji dominującej na danym rynku. W ich przypadku przepisy antymonopolowe regulują powyższe kwestie nieco inaczej, by nie doszło do faktycznej dyktatury zbyt potężnego gracza.

Problem, którego dotyczyła dawna sprawa przywołuję nie bez powodu. Jest on nadal bardzo aktualny. Wraz z wprowadzeniem w Polsce stanu epidemii pojawiła się bowiem kwestia dopuszczalności odmowy obsłużenia w sklepie klienta bez zakrytych ust i nosa. W rozporządzeniu wprowadzającym ograniczenia związane z owym stanem brak wyraźnego postanowienia pozwalającego na egzekwowanie przez sklepikarzy nakazu noszenia maseczek, przyłbic itp. akcesoriów w przestrzeni zamkniętej. Minister Zdrowia (MZ) zapowiedział więc wprowadzenie dodatkowego przepisu w tym zakresie, a Polska Organizacja Handlu i Dystrybucji popiera ów ruch. Niestety po raz kolejny okazuje się zatem, że zrozumienie polskiego prawa przez polskie władze ma się niezbyt dobrze. Organizację pozarządową można jeszcze zrozumieć. Jest ostrożna procesowo. Zabezpiecza interesy swoich członków na wszelki wypadek. (...)

Rozumiem, że zwolennicy wprowadzenia nowego przepisu powiedzą: „chwila, a co z art. 135 Kodeksu wykroczeń i art. 543 Kodeksu cywilnego?” Odpowiedź jest prosta. Pierwszy przepis wyraża zakaz odmawiania bez uzasadnionej przyczyny sprzedaży towaru przeznaczonego do sprzedaży w przedsiębiorstwie handlu detalicznego lub w przedsiębiorstwie gastronomicznym. Przede wszystkim godzi on nadmiernie w konstytucyjnie zagwarantowane: wolność działalności gospodarczej, wolność osobistą człowieka i ochronę własności prywatnej. Ale nawet pomijając tę kwestię trzeba pamiętać, że uzasadnioną przyczyną odmowy wcale nie musi pozostawać wyraźny nakaz prawny. Wystarczy powołać się na okoliczność, iż potencjalny klient nie spełnia warunków określonych w ofercie zawarcia umowy sprzedaży (np. właśnie nie ma wymaganej przez sprzedawcę osłony ust i nosa) albo na potrzebę ochronę dóbr osobistych samego przedsiębiorcy, jego pracowników oraz pozostałych klientów. Proste. Drugi przepis stanowi z kolei, że „wystawienie rzeczy w miejscu sprzedaży na widok publiczny z oznaczeniem ceny uważa się za ofertę sprzedaży”. Oznacza to, iż przedsiębiorca wyraża w ten sposób wolę zawarcia umowy sprzedaży, a przyjęcie oferty przez klienta skutkuje jej zawarciem i powstaniem obowiązku wydania rzeczy. Szczegóły oferty sklepikarz może jednak określić swobodnie – w tym, do kogo ją kieruje.

Konkluzja wpisuje się w ogólny nurt naszej polityki. Zamierzony przez władzę efekt można osiągnąć już na gruncie obowiązującego prawa. Problemem pozostaje jedynie stosowanie go we właściwy sposób. Dodawanie kolejnych przepisów jest jednak bardziej medialne. Dzięki niemu można pochwalić się, że „coś się robi dla ludzi”. Rządzącym wydaje się też łatwym rozwiązaniem kłopotu. Od dawna wiadomo jednak, iż takie myślenie nie prowadzi do dobrych skutków. Im więcej obowiązuje przepisów, tym bardziej system prawny staje się nieczytelny, więcej powstaje wątpliwości interpretacyjnych, częściej zdarzają się niespójności wymagające kolejnych poprawek w postaci kolejnych przepisów. Co zatem robić? Na początek najlepiej przestać dodawać kolejne regulacje. To już połowa sukcesu. Później można spróbować uchylać niepotrzebne unormowania.

Jaś, Małgosia i lesbijka Baba Jaga

Któż nie zna bajki o Jasiu i Małgosi – rodzeństwie, które wędrując po lesie zostało słodyczami zwabione przez paskudną Babę Jagę do jej chatki z piernika. Okropna Baba Jaga uwięziła Jasia, z którego chciała urządzić pieczeń, podobnie miała zamiar pożreć Małgosię. Rodzeństwo – choć łase na pierniczki – zorientowało się szybko o co chodzi i Małgosia podstępem zamknęła paskudną czarownicę w piecu podkręcając temperaturę na maksa. Dzieci były wolne i wróciły do domu.

Przypomina mi się ta bajeczka kiedy słyszę głosy oburzenia na młodych ludzi, którzy wylegli manifestować na ulicach na wezwanie lewicy w tym – jak donoszą media – niejakej Marty Lempart wrocławskiej lesbijki, awanturującej się w licznych protestach przeciwko rządowi PiS. Lempart protestowała już przeciwko zmianom w sądownictwie, „bronila” niepełnosprawnych, protestowała także przeciwko pedofilii – ale nie w ogóle pedofilii jako takiej, tylko pedofilii w kościele katolickim. Pedofilia gdzie indziej – np. wśród gejów – Lempartowej nie przeszkadza. Teraz Lempart stała się twarzą protestów, do których wezwała młodzież.

I jakoś chyba to uroda tej czołowej lesbijki wywołała u mnie skojarzenia z bajką z młodości. No bo jeśli już kogoś ta „twarz protestów” może przypominać to doprawdy nie jest to Królewna Śnieżka, ale okropna Baba Jaga – która jak teraz podejrzewam – na pewno była lesbijką.

I otóż to moje skojarzenie nie tyle ma na celu opisywanie fizjonomii tej tam, no działaczki (sami sobie wyklikajcie w necie i zobaczcie czy nie mam racji), ale naszła mnie pocieszająca refleksja, żeby nie potępiać młodzieży uwiedzionej – jak tymi bajkowymi pierniczkami – opowieściami o konieczności obrony wolności przeciwko straszemu tyranowi Kaczafiemu. Młodzieży namówionej przez stare wygi do uczestnictwa w jakiejś rzekomo szlachetnej imprezie.

Myślę, że zdecydowana większość młodych szybciej niż Jaś i Małgosia zorientują się, w co naprawdę zostali wciągnięci przez hordy paskudnych tak z ducha jak i z wyglądu – Bab Jag. Nie

wierzę w to, że ktoś normalny może niszczyć sprajem pomniki patriotyczne, religijne, obrażać uczucia wierzących, zakłócać Msze itd. itp. Owszem dewianci i barbarzyńcy znajdują się w każdej zbiorowości i to ich dziełem są te ekscesy. Większość młodych – jestem o tym przekonany – szybko zorientuje się, że została manipulowana i zrobi porządek z Babą Jagą i jej kumpelkami.

Dlatego apeluję do wszystkich – nauczycieli, katechetów, ale także rodziców i dziadków by rozmawiali z dziećmi i przekazywali im swoje życiowe doświadczenie.

Dlaczego przywołuję dziadków? Ano bo jeśli żyją, to być pamiętają oni jaką „wolnością” objawiał się komunizm kiedy młodzi bojcy Armii Czerwonej wkroczyli na Kresy. Pamiętają mordy, rabunki, wywózki. A miało być tak pięknie! Też się wszystko zaczynało od obietnicy pełnej wolności w tym swobody od wszystkich nakazów religijnych. „Religia to opium dla ludu” mówił Marks i właśnie kościoły prawosławny i katolicki stały się głównymi celami ataku komunistów. Wszystko – ma się rozumieć – w celu wyzwolenia człowieka z zakazów jakie niesie z sobą chrześcijaństwo.

Co będziecie słuchać popów? – wołał Lenin. Zakazują wam: „Nie kradnij!” Ale burżuja okraść wolno. „Nie zabijaj!” – Jak już okradłeś burżuja to go zarżnij nie zapominając zgwałcić panienki.

No i oczywiście te śmieszne przykazania zakazujące kopulacji z kim się chce i kiedy się chce. To wszystko burżuazyjne przeżytki. Masz ochotę – pofolguj sobie. Małżeństwo to burżuazyjny przeżytek. No a jakby tam jakaś cięża się trafiła, to wyskrob ten płód. Tak, tak – to Lenin pierwszy wprowadził swobodę aborcji.

Więc może dziadkowie, którzy dobrze pamiętają komunistyczny raj opowiedzieliby tak wnukom – jak naprawdę jest w chatce Baby Jagi, uświadamiając, że wszystko już było. I że paskudna lesbijka z równie zбочzonymi i wstrętnymi kumpelkami – prowadzą je do kociołka, w którym odegrają rolę przysmaku dla Starej Jędry.

Janusz Sanocki

Demokracja bezobjawowa

Wszystko już było, tylko nie wszyscy o tym pamiętają. W nieistniejącym już Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, do zwalczania przeciwników politycznych – żeby tak nie wszystkich trzymać w więzieniach i łagrach – wymyślono nową jednostkę chorobową – „schizofrenię bezobjawową”.

Już w 1959 r. szef Partii Komunistycznej – Chruszczow stwierdził: „Można powiedzieć, że w ZSRR istnieją ludzie, którzy walczą z komunizmem... ale u takich ludzi bez wątpienia stan psychiczny nie jest w normie”.

Ci co protestują – to nie opozycjoniści, ale chorzy i leczyć ich trzeba. Siłą wsadzać do „psychuszek” pakować insulinę, zastrzyki z siarki wywołujące gorączkę, aż się taki opamięta i przestanie bruździć władzy budującej dobrobyt.

Dzisiejszemu czytelnikowi, może się to wszystko wydać jakąś bajką, filmową fikcją, ale to była rzeczywistość. W Instytucie

Psychiatrii w Moskwie funkcjonował specjalny wydział, profesor Andriej Snieżewski rozwijał teorię „pełzającej schizofrenii”, a opozycjonistów wsadzano nie do więzień, ale bez wyroku, bezterminowo do szpitali. Przez „psychuszek” przeszli m.in. Natalia Gorbaniewska – organizatorka manifestacji przeciwko interwencji wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji (1968) czy Władimir Bukowski – psiarz i dysydent, który w szpitalach psychiatrycznych, z rozpoznaniem „bezobjawowej schizofrenii” spędził 12 lat.

Po upadku ZSRR „schizofrenia bezobjawowa” została oczywiście potępiona, ale sama „bezobjawowość” okazała się jednak bardzo przydatna i oto na naszych oczach wraca do użytku.

W formie jak najbardziej demokratycznej – ma się rozumieć – i z pewnymi modyfikacjami. Tym razem zamiast schizofrenii mamy wirusa, który u 99% ludzi przechodzi „bezobjawowo” tj.

nie wywołując żadnej choroby. No i nie można tych ludzi tak zostawić, by sobie dowolnie poczynali. Nie to, że rząd krytykują, ale mogą zarazić jak najbardziej „bezobjawowo” kolejne osoby. Nie dość, że sami „bezobjawowi” nie chorują, to jeszcze zarażeni też nie będą mieli objawów. Ach, jakie piękne pole do działania dla każdej władzy! Dla dobra społeczeństwa – oczywiście!

Kilka dni temu policja w Warszawie rozpendziła manifestację przedsiębiorców protestujących przeciwko działaniom rządu. Demonstranci korzystali z zagwarantowanego Konstytucją prawa do zgromadzeń (art. 57) i zachowywali się pokojowo. Na dodatek wśród nich był jeden z kandydatów na prezydenta, a mamy jakby na to nie patrzeć kampanię wyborczą. Nic to! Policjanci zapakowali wszystkich do „suk” (wśród nich i kandydata na prezydenta) zawieźli na „dołki” do różnych warszawskich komend, wypuścili rano. I wszystko to jak najbardziej w „demokratycznym państwie prawnym”.

Ale policja i rząd nasz ukochany mają tu wytłumaczenie. Demonstranci nie mieli maseczek, które chroniłyby ich od strzykania śliną na funkcjonariuszy, nie zachowywali między sobą odstępów dwumetrowych, a przecież każdy z nich mógł być „bezobjawowym” nosicielem wirusa.

No to co tu ma do rzeczy Konstytucja, kiedy wirus może być bezobjawowy? Tak „bezobjawowy” jak wybory prezydenckie z 10 maja. Konstytucja ZSRR też gwarantowała każdemu wszystkie

prawa, no ale jak ktoś dostał „bezobjawowej schizofrenii” i sprzeciwiał się władzy, to trzeba go było – (dla jego dobra i dobra społeczeństwa) izolować. Władza wszystko bowiem robi dla naszego dobra – jakżeby inaczej?

Znaleźliśmy się w „demokracji bezobjawowej”. Nas weteranów pamiętających czasy komuny to nie dziwi. Wszystko już było! I tak dobrze, że „bezobjawowych” nosiciele wirusa, nie zamykają (na razie) w szpitalach i nie wstrzykują siarki koloidalnej, albo jakiego innego świństwa. Chociaż minister zdrowia zapowiada powszechne szczepienia, więc jeszcze wszystko przed nami.

Tymczasem wynaleziona przez radzieckich psychiatrów „bezobjawowość” okazała się osiągnięciem ponadczasowym i ponadustrojowym. No bo jak coś jest dobre i użyteczne to jak z tego nie korzystać?

Dla dobra społeczeństwa – ma się rozumieć. Jak najbardziej dla dobra.

Janusz Sanocki



Polska Zjednoczona Klasa Polityczna

No nareszcie posłowie przemówili jednym głosem. Zgodnie, bez rzucania sobie w twarz oskarżeń o zdradę, o zaprzaństwo i co tam jeszcze. Nawet posełka Jachira, która co prawda zagłosowała przeciw, ale tak cichutko jakoś. Nie protestowała i nie wznosiła transparentów przeciwko „krzywoprzysiężcom”. I nawet nie przeszkadzało nikomu szybkie tempo procedowania ważnej ustawy o podwyżkach pensji dla polityków.

Wszystkie główne kluby zgodnie, jednomyślnie głosowały za podniesieniem wynagrodzeń dla prezydenta, ministrów, posłów. I to znacznym podniesieniem. Widzicie! Jak jest jakaś poważna sprawa, dotycząca dobra Ojczyzny to nasza „klasa polityczna” potrafi się zjednoczyć, potrafi się nie kłócić i w zgodzie ratować kraj.

Tak samo było w 1920 roku kiedy na Polskę szła bolszewicka nawała. Wszyscy się zjednoczyli i powstał rząd jedności z premierem Witosem na czele.

Teraz też nasi politycy pokazali, że są godnymi następcami tamtych parlamentarzystów. Dali światu przykład zgody i jedności.

No jasne, że zawsze będą jacyś niezadowoleni, którzy zaczną się czepiać: „A co z lekarzami, emerytami czy innymi, którzy w Polsce pracują za 3 tys.? Dlaczego im się nie podnosi wynagrodzeń? A co z przedsiębiorcami, którzy żeby zarobić te parę groszy muszą płacić haracze na ZUS, podatki itd. itp.?”

Z przedsiębiorcami to wiadomo, któryś poseł z PiS już im dobrze powiedział: „Jak ktoś nie umie prowadzić biznesu to niech go zamknie i nie narzeka!”

A posłowie – jako najlepsi z najlepszych (sami żeście ich wybierali) – mądrzy, kompetentni to i muszą zarabiać godnie!

„I te podwyżki im się po prostu należały”, że zacytuję nabożną premier Szydło.

No bo weźmy na ten przykład takich ministrów. Czy to właściwe, że wiceminister dostaje dychę, a gość którego on wsadza do jakiegoś Orlenu czy innej spółki – co miesiąc bierze 50 tysiaków? No niewłaściwe to jest w sposób oczywisty. Do tej pory wypadało, żeby się z ministrem taki koleś dzielił jakoś „pod stołem”.

Ale znów znajdzie się malkontent i zacznie pytać: „A po co

nam tylu tych ministrów? A dlaczego to niby koleś partyjni w spółkach skarbu państwa gdzie nic nie mają do roboty zarabiają po kilkadziesiąt tysięcy? Itd. itp.”

To są dywersanci, którzy takie pytania zadają. Mąciociele!

Tymczasem fakt pozostaje: nasza „klasa polityczna” dała nam piękny przykład zgody i jedności podnosząc sobie wynagrodzenia bez żadnych protestów.

Ja prawdę powiedziawszy dawno już wiedziałem, że oni – te chłopaki i dziewczyny z PiS i PO – są jednością. Że owszem tak przed kamerami kłóć się podszuczują tych biednych wyborców – no bo jakby te głosy dostali żeby jakieś wybory można było zainscenizować. Ale tak naprawdę to nic ich ważnego nie dzieli, a łączy bardzo wiele.

Muszą oczywiście jakoś podpuszczać publiczność, pokazywać że się kłóć, że „jak zagłosujecie na tamtych to Polska zginie, a jak na nas to damy wam żyć (bo my są dobre a one złe)” i tak dalej w kółko Macieju. Jednak to są występy na pokaz, naprawdę nic ich ważnego nie dzieli.

No a co z tymi pensjami? Należało się im czy nie?

Z jednej strony to śmieszne jest żeby prezydent zarabiał mniej od dyrektora lokalnego ZOZ-u, ale z drugiej oni tam w Sejmie nie zajęli się całością, nie ustanowili siatki płac dla wszystkich pracowników państwowych – jak było w II Rzeczypospolitej, ale też i nie spojrzeli nawet na to czy rzeczywiście potrzeba nam jest setka ministrów i ich zastępców, czy zarobki w rządach państwowych spółek muszą być tak gigantyczne? No a przede wszystkim nie spojrzeli na budżet państwa w którym ziejie gigantyczna dziura. W tym roku deficyt będzie większy niż kiedykolwiek i ekonomiści oceniają, że w budżecie zabraknie nawet ze 100 mld zł.

Deficyt budżetowy to strata. Gdyby jakkolwiek przedsiębiorca mając gigantyczną stratę wypłacał sobie podwyżkę, jego firma splajtowałaby w kilka miesięcy. A miłościwie nam panująca klasa polityczna tak właśnie rządzi Polską od lat. No i za to należą im się podwyżki!

No i jak tu ich wszystkich pogonić?

Janusz Sanocki

Mordobicie „ruskich onuc”

Najnowszy tygodnik „Newsweek” przyniósł porażającą informację – Putin ma w Polsce swoje partie. W rytm kremlowskich kurantów tańczą ponoć Prawo i Sprawiedliwość oraz Solidarna Polska, które stały się putinowską tubą propagandową. W temat wprowadza redaktor naczelny Tomasz Lis, który we wstępie, pełnym historycznych wycieczek, wymownie zauważa:

„Dziś, tak jak wcześniej w historii, nie chodzi przede wszystkim o sojusz z Rosją, ale o duchowe z nią powinowactwo. O to, czy wyprze ono ducha demokratycznej, praworządnej, obywatelskiej Rzeczypospolitej.”

Wydawać by się mogło, że po takim wstępie zostaniemy porażeni ekskluzywną wiedzą redakcyjną wydobytą z czeluści rosyjskich służb albo przynajmniej przeczytamy spowiedź skruszonego szpiega. Niestety, nic z tych rzeczy. Clou numeru, czyli tekst „Sojusznicy Putina” mocno rozczarowuje. Napisany z gimnazjalnym zacięciem, operujący ogólnikami i wiedzą od wujka Googla, niczego nowego do interesującego skądinąd tematu nie wnosi. Co najwyżej śmieszny naiwnością i przewidywalnym do bólu schematyzmem.

Dowiadujemy się, że skoro PiS, Solidarna Polska i część prorządowych mediów nie popiera gejowskich małżeństw, dystansuje się od blichtru liberalnej brukselskiej demokracji, stawia opór napływowi afrykańskich i muzułmańskich uchodźców do Europy, wyżej ceni Dekalog niż „prawoczwóliczą” epistemologię, a na dodatek nie przepada za ukraińskim banderyzmem, to nie ma zmiłuj się – mamy do czynienia z ewidentną ruską onucą. Jak dla mnie, słabe to.

Tekst w „Newsweeku” wpisuje się tak naprawdę w narrację szeroko rozumianej opozycji, która od dobrych kilku lat stara się pożenić PiS z Moskwą, upatrując w tym szansy na skruszenie piśmowskiego monolitu. Wiadomo, nic tak elektryzującego nie działa na elektorat Jarosława Kaczyńskiego, jak ruska agentura, która – co oczywiste – czyha dookoła. A skoro dookoła, to i we własnych szeregach. W to właśnie gra opozycja, konstruując coraz bardziej piramidalne teorie, od ruskiego szpiona Macierewicza poczynając, na sugestiiach, że obalenie rządu PO-PSL, było rosyjską operacją-wprawką przed wyborami w USA.

Chodzi oczywiście o wybory w 2016 roku, w których wygrał Donald Trump. Indagowany na tę okoliczność przez „Newsweek” Radosław Sikorski nie pozostawia złudzeń: „Rosjanie testują u nas techniki, które potem wykorzystują na Zachodzie. Doświadczenia z Polski wdrożyli podczas wyborów w USA wygranych przez Donalda Trumpa”.

W sukurs tej teorii przychodzi odpytany również przez „Newsweek” były szef Służby Kontrwywiadu Wojskowego gen. Janusz Nosek twierdząc, że: „Jednym z priorytetów rosyjskich służb specjalnych jest dezintegracja Zachodu, a więc UE i NATO. Ich metody polegają w dużej mierze na kreowaniu zachowań zbieżnych z rosyjskim interesem”. Nie wiedzieć czemu, ta „oczywista oczywistość” dotycząca wszystkich służb świata, urasta tutaj do prawdy objawionej.

Polska „choroba na Moskala”, która do niedawna była chorobą występującą ogniskowo, acz przewlekłe, dzisiaj ma wszelkie znamiona pandemii. Dotknęła w zasadzie wszystkie środowiska polityczne oraz newralgiczne instytucje państwa odpowiedzialne za sprawy bezpieczeństwa, dotknęła także biznes, media i środowisko dziennikarskie.

Jednak największe jej nasilenie widać w obozie szeroko rozumianego środowiska solidarnościowego, czyli POPIs-u, w którym na resztkach styropianu trwa regularne mordobicie i tropienie ruskich onuc na nogach dawnych towarzyszy broni. „Totalsi”

wprost zarzucają dzisiaj PiS-owi, a PiS „totalsom”, że grają w kremlowskim teatrzyku, a w wersji bardziej lajtowej, że idą na pasku putinowskiej propagandy.

Byłoby to może i śmieszne, gdyby tak naprawdę nie było żalosne. Żalosne nie dlatego, że nie mamy do czynienia z zagrożeniem ze strony Rosji, ale dlatego, że nasza reakcja na to zagrożenie przybrała formę obsesyjną i wariacką, która – co niestety widać, słyhać i czuć – toczy w najlepsze polską klasę polityczną, niczym pandemia koronawirusa pensjonariuszy domów pomocy społecznej.

Napiszę teraz coś, co mi przyjaciel nie przysporzy. Nasza polska pandemiczna „choroba na Moskala” jest tak naprawdę rodzajem dysfunkcji mentalnej i intelektualnej. Niestety, przypisujemy sobie rolę i miejsce, których w stosunku do świata i Rosji nie pełni. Nie jesteśmy aż tak ważni, jak nam się wydaje i tak naprawdę niewiele od nas zależy. Nie dlatego, że jesteśmy słabi i niewystarczająco przenikliwi, ale dlatego, że mając od lat takie a nie inne kierownictwo polityczne, jesteśmy tacy jacy jesteśmy. Przewrażliwieni i mitomańscy.

Abstrahujemy od geopolitycznego i realnego układu odniesienia, tworząc propagandowe światy równoległe, budzące jedynie dyskretny uśmiech politowania głównych graczy, którzy widząc taki stan rzeczy, zlecają nam co najwyżej podwykonawstwo w sprawach drobnych. Wiedzą, że i tak zareagujemy ekstatycznie, bo jak mało kto, uwielbiamy dostawać dyplomatyczne koraliki. Myślmy wówczas, że to skrzynie skarbów.

Wbrew pozorom, Polska nie jest dla Rosjan problemem. Rosja ma nas przeczytanych zbyt dobrze, byśmy spędzali jej sen z powiek. Ma znacznie poważniejsze problemy. W jej agendzie jesteśmy dalej niż nam się wydaje. Spraw na odcinku polskim nie załatwia z nami, ale z tym, którzy dają nam koraliki. Rosjanie nie mają dzisiaj powodu, by traktować nas znacznie poważniej, tak jak traktują Turcję, Słowację czy chociażby Węgry.

Polska nie uczestniczy w żadnym ważnym wielostronnym formacie międzynarodowym, w który zaangażowana jest Rosja, nawet jeśli ten projekt dotyczy państw z nami sąsiadujących. W relacjach dyplomatycznych między Polską a Rosją utrzymywany jest jedynie stan niezbędnego minimum, swoisty „stand-by”. Nie widać oznak, by mogło się to w najbliższym czasie zmienić. Jest wręcz przeciwnie. Chłód dyplomatyczny zaczyna przechodzić w zmarzlinę.

Polsce brakuje dzisiaj ugrupowania realnego. Zapętleni w ideologiczne i światopoglądowe spory, żyjąc w politycznym metaświecie, pośród fobii, spisków i wszechobecnego hejtu, jakże często sygnowanego przez władzę, tracimy szansę na bycie państwem poważnym. Idziemy od jednej skrajności w drugą, objając się boleśnie o mury nienawiści. Tak to niestety wygląda.

Byłby pomału czas na formację realną, czy jak kto woli – realistyczną i pragmatyczną. Taką, która potrafiłaby odrzucić schemat zideologizowanego myślenia politycznego w jaki daliśmy się wpuścić jako państwo, na formację impregnowaną na chęć zemsty i rewanzu, formację zdolną rozmawiać z każdym, także obok, a nawet wbrew politycznym „wielkim braciom”. Potrzebna jest, krótko mówiąc, formacja „realnego cojones”.

Taka formacja, dopóki nie zawali się obecny świat polityki, oczywiście nie powstanie. A nawet jeśli ten murszejący świat się zawali, to rodzi się pytanie, kto miałby taką formację firmować? Ja nie widzę nikogo na horyzoncie. Ale może to dobrze, bo z tych których widzę, między Bogiem a prawdą, wybór jest marny. W najnowszym numerze „Newsweeka” widać to doskonale.

Maciej Eckardt

Na szczęście będzie jeszcze gorzej

Reportaż TVN 24 „Don Stanisław” dotyczący tuszowania pedofilii w Kościele katolickim przez kardynała Stanisława Dziwisza wywołał zrozumiałą ogólnopolską burzę. Sprawa nie dotyczy bowiem zwykłego księdza, proboszcza, czy biskupa. Dotyczy Stanisława Dziwisza, tego Stanisława Dziwisza, stojącego zawsze obok Jana Pawła II, towarzyszącego mu do ostatnich dni, będącego jego osobistym sekretarzem i przyjacielem.

Nic dziwnego, że pedofilski śwąd, którego tropem poszedł tutaj TVN zszokował nie tylko wiernych. Sprawa ta jest dla Kościoła niezwykle groźna, gdyż rozbryzg, jaki za chwilę nastąpi na kanwie sprawy kardynała Dziwisza, siłą rzeczy zbruka wizerunek św. Jana Pawła II, ikony katolicyzmu ostatnich dekad, który nadał współczesnemu Kościołowi szczególny niepowtarzalny rys.

Odarcie Jana Pawła II z jego osobistych przymiotów i eschatologicznego wymiaru jest dla mnie oczywistą agendą Antykościół. Nadciągające uderzenie będzie bolesne i brutalne. Będzie uderzeniem w autorytet, który wciąż ma – choć coraz słabszy – wpływ na duchowość katolików, a patrząc szerzej chrześcijan i wszystkich tych, których swoją osobowością ujął polski papież.

Nie jestem zaskoczony tym, co się dzieje. Od dawna kraczę, że to co się dzieje w Kościele, szczególnie w kontekście pedofilii czy tolerowania w jego strukturach oczywistego grzechu i występku, to droga do jego zatracenia. Kościół nie jest dzisiaj opoką, strzegącą depozytu tego, który ten Kościół ustanowił. Jego mury zarysowały nie tylko odrażające praktyki pedofilskie i sodomickie uprawiane lub tolerowane przez wielu jego hierarchów czy swowolna praktyka przyzwolenia na nieczność, ale i niejednoznaczność w określaniu tego, co prawdziwie święte.

Wierni patrzą dzisiaj na swój Kościół z niedowierzaniem, a często z przerażeniem i odrazą. A to dlatego, że nie było w nim komu w porę rozpoznać i rozprawić się ze mrocznym Deep State, które znalazło w jego murach dogodny warunki do funkcjonowania. Jest gdzieś w Kościele błąd strukturalny, który nie pozwala w porę na reakcję. Jego system immunologiczny został na tyle mocno zdewastowany, że dzisiaj Kościołowi katolickiemu potrzebny jest tlen. Jeszcze nie respirator, ale właśnie tlen. Dużo tlenu.

Sprawa kardynała Dziwisza spowoduje odejścia kolejnych wiernych z Kościoła. Jeśli sprawy, o których była mowa w materiale TVN24 znajdą potwierdzenie, polski Kościół przez długie lata się z nich nie otrząśnie. Na własne życzenie zmarnotrawi swój największy klejnot w koronie, jakim był i wciąż jest Jan Paweł II.

Nie ulega dla mnie wątpliwości, że to nie o kardynała Dziwisza tak naprawdę tutaj chodzi. Kardynał poprzez swoje dwuznaczne zachowania i manipulacje, stał się niestety katalizatorem ataku na Jana Pawła II. Liczne słabości kardynała Dziwisza, w tym intelektualne, przeciwnik wykorzysta z nawiązką. Jest zresztą do tego doskonale przygotowany.

Kościół czeka ciężki czas. Okres ciepłej wody w kurialnych i biskupich kranach niechybnie się kończy. Ku końcowi zmierzają też cesaropapizm, który za sprawą Prawa i Sprawiedliwości przyjął w Polsce wyjątkowo kuriozalną formułę, a w którą tak ochoczo wpisali się nasi hierarchowie. To kolejny wielki grzech polskiego Kościoła.

Wulgarnie hasła antyreligijne i antyklerykalne, pomazane fałszywe hasła kościołów, zakłócanie msze, które oglądaliśmy przy okazji ostatnich manifestacji, to jedynie zewnętrzny, wcale nie najgroź-



niejszy przejaw narastającej niechęci do Kościoła. Znacznie bardziej dotkliwie dla Kościoła będzie milczenie i odwrócenie się do niego plecami tych wiernych, którzy byli dotychczas Kościołowi życzliwi czy w najgorszym razie neutralni.

Dla nich opadające maski – fakt, że przy decydującym udziale nieprzychylnych Kościołowi mediów – z twarzy niektórych hierarchów mogą okazać się przysłowiowym „jednym mostem za daleko”. Zostawiają go za sobą spalonym, dowiadując się rzeczy wydawałoby się nie do pomyślenia w polskim Kościele.

Na szczęście mogą państwa pocieszyć. Otóż, będzie jeszcze gorzej. Gdzie tu pociecha, zapyta ktoś? Ano w tym, że Kościołowi służy niedostatek i opresja, bo misją Kościoła nie jest błogie stanie na straży kurka z ciepłą wodą. Kościół kwitnie, kiedy ma zarobione ręce i podkasane rękawy. Wtedy jego pasterze nie mają czasu na bezcelestwa. Kościół tchnie autentycznością, kiedy nie kocha go władza i kiedy się od tej władzy się dystansuje. Wtedy jaśniej i przyciąga.

I mała uwaga na koniec tego przydługiego tekstu. Nie wkurzają mnie antyklerykałowie, feministki czy osobiści wrogowie Pana Boga „robiący dym” pod kościołami i kuriami. Wkurza mnie natomiast, że podobnego „dymu” nie robią zwykli katolicy. Tacy, co nie mają nic do stracenia. Szkoda, że dotychczas nie starczyło im przenikliwości i odwagi, by pójść pod jeden czy drugi pałac biskupi, i wykrzyknąć biskupowi czy kardynałowi – chłopie, odejdz, wstydu nie rób!

Za ich przykładem mogłoby podążyć wielu porządnym księży, wikariuszy i proboszczów. Może zdobyliby się wówczas na odwagę, by krzyknąć – basta! Taki właśnie wspólny krzyk mi się marzy. Żadne tam komisje wewnętrzne czy listy KEP-u. Tu potrzebny jest głos w****nych wiernych. Tu potrzeba nie jednej, ale gradu błyskawic, najlepiej wprost z jasnego nieba.

Tak, katolicy też mają prawo do WK****ENIA. Kto wie, czy nawet nie obowiązek.

Walka o honor Europy

Znowu stajemy okoniem, kością w gardzieli europejskiego szaleństwa, którego twarzą znowu jest Holandia. Nie wiem jak to się dzieje, że ten mikrus, ten pryszcz na mapie kontynentu od zawsze sprawia tyle Europie tyle wstydu!

Jakby się głębiej zastanowić, to z czego znana jest Holandia? Z okrucieństwa wobec niewolników w swoich afrykańskich, amerykańskich i azjatyckich koloniach, haniebnej ucieczki holenderskich żołnierzy, którzy pozwolili na masakrę w Srebrenicy, z legalnego zabijania starców i dzieci. Eugenika, eutanazja i aborcja to fundamenty dzisiejszej Holandii. Plus antyrodzinne zastępy urzędników czekających tylko na pretekst, by rozbić rodzinę postrzeganą jako największe zło.

Tak jak Polacy w Norwegii (Barnevernet!), Wielkiej Brytanii (Social Services!) czy Niemczech (Jugendamt!) często muszą po nocach uciekać, żeby im nie odebrano dzieci, tak i w Holandii obcokrajowcy są narażeni na ten dramat. Spotkało to australijsko-rosyjskie małżeństwo – Conrad i Katyta Hertog mieszkali tam od dawna. Pracowali legalnie, cieszyli się życiem w sercu Europy. Urodził im się synek – Martin.

Problem w tym, że dziecko jest chore. Ma zdiagnozowaną ciężką postać autyzmu.

W lutym 2018 roku sąsiedzi wysłali do holenderskiej opieki społecznej donos, że w domu państwa Hertog dzieje się źle, bo... są hałasy. Bo słychać krzyki dziecka. I zaczęło się piekło znane wszystkim, którzy mieli kiedykolwiek do czynienia ze zbrodniczymi organizacjami takimi jak te wymienione wyżej. Dziecko zostało natychmiast odebrane z rodzinnego domu i umieszczone... nie, wcale nie w rodzinie zastępczej, ale w internacie. Ośmioletni Martin, autystyk, został brutalnie wyrwany ze znanego mu środowiska i umieszczony w obcym świecie. Rodzice od początku walczyli o dziecko krzycząc na cały głos, że chłopiec cierpi na bardzo ciężkie zaburzenia rozwojowe i bezwzględnie powinien być poddawany ciągłej, głębokiej terapii.

Co zrobili Holendrzy? Przez trzynaście miesięcy zabraniali rodzicom kontaktu z synem. Raz na dwa tygodnie mailowo informowali ich o tym, jak się czuje dziecko. Potem łaskawie pozwolili im na widywanie się z synem – trzy godziny, raz w miesiącu. Podczas jednego z tych spotkań w rodzicach Martina pękło. W czerwcu 2020 roku zabrali syna i uciekli. Dokąd? Do Polski!

Holendrzy uznali, że rodzice Martina dokonali tak zwanego porwania rodzicielskiego i wydali za nimi europejski nakaz aresztowania. Państwo Hertog w Polsce złożyli prośbę o azyl. Co zrobił w tej sytuacji polski sąd? „W Wigilię zdecydował o wydaniu Holendrom 8-letniego autystycznego dziecka małżeństwa rosyjsko-australijskiego, które szuka azylu w Polsce. Już wystąpiłem do Prokuratury Krajowej, żeby rozważono pilne zażalenie się i wstrzymanie wykonania orzeczenia” – napisał na Twitterze minister Michał Wójcik nazywając całe wydarzenie „niebывałym skandalem”.

No i jest to skandal. Niebывały! Jeśli ktoś szuka na polskiej ziemi azylu, bezpieczeństwa dla siebie i przede wszystkim dla chorego dziecka, to musi mieć pewność, że jego sprawa zostanie dogłębnie zbadana. Tak było od wieków! Zresztą właśnie z Holandii do Polski uciekali przed prześladowaniami menonici – holenderscy protestanci mordowani we własnej ojczyźnie!

A polski sąd lekką ręką, w Wigilię Świąt Bożego Narodzenia zdecydował o przymusowym, siłowym odebraniu chorego dziecka rodzicom i odesłaniu go holenderskim urządząsom!

„Zgodnie z niderlandzkim prawem takie działanie rozpatrywane jest jako uprowadzenie dziecka zagrożone karą do 9 lat pozbawienia wolności. Rodzice złożyli wnioski o przyznanie im azylu w Polsce oraz o nieuznawanie postanowień sądów niderlandzkich. Uznali bowiem, że państwo polskie zagwarantuje im przestrzeganie wartości rodzinnych i stworzy możliwość zapewnienia dziecku dalszego rozwoju” – informowała w sierpniu prokurator Skrzyński. Rodzice sami skontaktowali się z prokuraturą i zostali przesłuchani. Śledczy uzyskali także opinię psychologiczną, w której „wskazano na istniejącą prawidłową więź matki i ojca z dzieckiem”. Z opinii tej wynikało, że jakiegokolwiek zmiany w sytuacji Martina mogą negatywnie wpłynąć na jego dalszy rozwój.

Minister Wójcik interweniując walczy o bezpieczeństwo (być może o życie, a na pewno o zdrowie!) dziecka, ale walczy też o coś więcej. O honor Europy. Australijsko-rosyjskie małżeństwo przyjechało do Europy szukając szczęścia, pracy, bezpieczeństwa, miłości. Znalazło pogrobowców hitlerowskiej eugeniki.

Polska od wieków była miejscem, gdzie uciekali ludzie prześladowani za wiarę i poglądy. Kiedy płonęły stosy, to nad Wisłą zbierali się nieprawomyślni, niewłaściwie wierzący, żegnający się w nie w tę stronę. Bo u nas znajdowali bezpieczeństwo pod jednym tylko warunkiem: szacunku do wiary i tradycji gospodarzy. W 1564 roku nuncjusz papieski Franciszek Commendone pisał z odrazą, że ktokolwiek „czy za przewinienia, czy za szkodliwe w religii mniemania z ojczyzny swojej był wygnany, uciekał do polski jak do pewnego schronienia”. I przyjeżdżali do nas luterańskie, kalwiński, menonici, żydzi, muzułmanie, arianie.

Tak jak przed wiekami, tak i dzisiaj Polska powinna być ostoją bezpieczeństwa dla tych, którzy uciekają przed gwałtem i złem.

A gdyby jeszcze polskie sądy, polski system prawny, polskie prawo rodzinne i opiekuńcze było dobre i sprawiedliwe, nie tylko w porównaniu do holenderskiego, to byłbym nie tylko dumny, ale i szczęśliwy.

Paweł Skutecki

OSTATNI TAKI ROK

ZBIÓR FELIETONÓW Z ROKU 2020

#SZCZEPIONKI

#SZCZEPIONKI

#NIEMCY

#NIEMCY

#ŻYDZI

#ŻYDZI

#PLANDEMIA

#PLANDEMIA

#APARTHEID

#APARTHEID

#KARAŚMIERCI

#KARAŚMIERCI

#MEDYCYNIA

#MEDYCYNIA

#KRYZYS

#KRYZYS

#HEJT

#HEJT

#ZARAŻA

#ZARAŻA



Nowy apartheid

W Stanach Zjednoczonych ruszyły szczepienia przeciwko COVID-19 szczepionką firmy Pfizer. Tej samej firmy, która płaciła już wielokrotnie gigantyczne kary, której zarzucano kilkanaście ofiar śmiertelnych wśród dzieci w efekcie nielegalnych badań klinicznych w Afryce. Teraz prezes tej firmy powiedział wprost, że jeszcze się nie zaszczepił, bo ma dopiero 59 lat, czuje się świetnie i... postanowił zostawić więcej tego dobra dla innych.

Altruizm prezesa koncernu farmaceutycznego sprawił, że część Amerykanów oczywiście zaniemówiła z wrażenia i podziwu, ale część zdecydowała iść w jego ślady i poczekać, zobaczyć co się stanie, jak inni dadzą sobie wstrzyknąć preparat, którego działania dzisiaj nie zna nikt. To nie jest figura retoryczna. Szczepionka na koronawirusa przygotowana przez kilka firm, potężnych koncernów farmaceutycznych, nie jest przebadana, bo zwyczajnie nie było na to czasu. W Wielkiej Brytanii też rozpoczęły się już szczepienia i zgodnie z tamtejszym prawem obie wersje ulotki producent musiał opublikować. W wersji dla pacjentów było trochę ciekawych rzeczy, ale wersja dla personelu medycznego zawiera prawdziwe bomby. Okazuje się bowiem, że szczepionka w ogóle nie została przebadana pod kątem wpływu na kobiety w ciąży, na osoby z alergiami. Mało tego – nie sprawdzono również interakcji szczepionki z innymi lekami. A przypomnę, że w pierwszej kolejności rządy chcą szczepić osoby starsze, wśród których znalezienie kogoś, kto nie bierze żadnych leków, stanowiłoby samo w sobie nie lada sensację.

Mamy więc do czynienia z eksperymentem medycznym na olbrzymią, globalną skalę. Nie wiadomo prawie nic, wszystko ma zostać odkryte rozpoznaniem walką, jak mawiano w wojsku. Zwłaszcza w tym wojsku, gdzie wszystkiego może brakować, ale armatniego mięsa zawsze było pod dostatkiem. Na kontynencie europejskim mamy na szczęście Unię Europejską, co oznacza, że zanim młyny urzędniczych decyzji przemielią stosowne dokumenty, Amerykanie i Brytyjczycy będą już daleko zaawansowani w akcji szczepień swoich obywateli. I dobrze! Bądźmy mądrzy niczym prezes Pfizer i poczekajmy. Jak im się nic nie stanie, to ruszymy ze szczepieniami. Jak szpitale się zapełnią pacjentami nie z COVID-19, a z powikłaniami po szczepionce – wstrzymamy się z akcją. Dobrze jest uczyć się na cudzych błędach, prawda?

Gorzej, że polscy lekarze stają się powoli bezmyślnymi wykonawcami urzędniczych rozkazów. Przez setki lat lekarz był przede

wszystkim naukowcem, który podważał prawdy zastane, szukał rozwiązań, drażył, pytał. Dzisiaj ma być potulnym potakiwaczem, bo inaczej – jak to pięknie określił jeden z szefów lekarskiego samorządu – będzie przesłuchiwany. Są mimo wszystko w Polsce lekarze, którzy ośmielają się mówić głośno, że oficjalna wersja rozjeżdża się z rzeczywistością. Okazuje się, że wyśmiewany przez „autorytety medyczne” doktor Bodnar miał rację. Wiceminister sprawiedliwości Marcin Warchoł napisał oficjalnie, że jego i jego rodzinę w kilka dni wyleczyła z COVID-19 amantadyna. Doktor Bodnar, pediatra i specjalista chorób płuc, już dawno przekonywał, że ta substancja radzi sobie doskonale z koronawirusem. Jaki był efekt? Od grudnia ministerstwo zdrowia... zabroniło przepisywania tego leku w przypadkach innych niż choroba i zespół Parkinsona oraz dyskineza późna u osób dorosłych. Natychmiast pojawiły się teorie, które choć pachną spiskami, trudno obalić czy choćby obrócić w czarny humor.

Patrząc na to co się dzieje w przestrzeni publicznej można odnieść wrażenie, że rząd liczy wyłącznie na szczepionki. Te nieprzebadane, o nieznaną skuteczności w długim okresie czasu. Te, które kupiliśmy za ponad dwa miliardy złotych zanim pokazano nam jakiegokolwiek badania ich skuteczności i bezpieczeństwa. Mądre to? Pojawiły się już co najmniej dwa listy otwarte podpisane przez lekarzy i naukowców domagających się zatrzymania akcji szczepień i badań nad lekiem, co może być tańsze, skuteczniejsze, bezpieczniejsze i co najważniejsze – pod całkowitą kontrolą polskich służb medycznych, sanitarnych i wszystkich innych.

My, pacjenci jesteśmy zdezorientowani. Nad naszymi głowami toczy się spór, a my mamy wrażenie, że dwóch bandytów się kłóci o nasz portfel, w którym trzymamy nasze zdrowie. Rząd natomiast zamiast być arbitrem w tym sporze, zajmuje konkretne stanowisko i próbuje nas unieruchomić obietnicami, ale i groźbami. Szczepienia będą dobrowolne, ale dobrowolne jest też korzystanie z kin, komunikacji publicznej i basenów, prawda? Jaki ostatecznie będzie miał kształt „status osoby zaszczepionej”, tego nie wie nikt.

Szykuje się nowa segregacja, nowy apartheid. I kogokolwiek jeszcze – oprócz rządu, oczywiście – dziwi, że większość Polaków zachowa się jak prezes Pfizer, a nie jak nasz minister zdrowia, który powiedział, że owszem, zaszczepi się, ale nie na wizji...

Paweł Skutecki

Jednak dobrze, że nie ma w Polsce kary śmierci...

Postępy paranoi i szaleństwa nabierają tempa. Stanowiący śmiertelne zagrożenie dla ludzi – ewidentnie bezobjawowo – zarażony piłkarz wyszedł na boisko i rozegrał cały mecz. Został zatrzymany i aresztowany. Grozi mu osiem lat więzienia plus tusta grzywna.

Straszny koronawirus dopadł 28-letniego futbolistę Kmity Zabierzów. W ostatnią sobotę zagrał w meczu z Borkiem Kraków. Później, we wtorek dowiedział się, że jest zakażony koronawirusem. W środę dokonał potwornej zbrodni: „Ignorując wynik testu opuścił mieszkanie” – mówi dramatycznym szeptem młodszy inspektor Gień Sebastian z małopolskiej policji – i pojechał zagrać w piłkę ze Świttem Krzeszowice.

Bandycki postępek nie tak młodego kopacza nie został zlek-

ceważony. Mężczyznę zatrzymali dzielni – zabezpieczeni przed wirusem po same uszy – policjanci. Został przewieziony do izby zatrzymań w Limanowej – specjalnie przeznaczonej i przystosowanej do pobytu osób z COVID-19, a prokuratura jutro zdecyduje o postawieniu mu zarzutów. Może to być zarzut spowodowania powszechnego zagrożenia dla życia i zdrowia, za co grozi nawet osiem lat więzienia. Plus na deser sanepid dołoży mu karę administracyjną.

Obie drużyny – Kmity Zabierzów i Świt Krzeszowice – trafiły na kwarantannę.

Czasem mam nadzieję, że to po prostu jest sen wariata.

Paweł Skutecki

Po czyjej stronie jest Pan Bóg?

Komentatorzy podsumowujący wybory wskazują, kto – to znaczy – jakie środowiska poparły pana prezydenta Andrzeja Dudę, a jakie – Rafała Trzaskowskiego. Przed drugą turą obydwaj kandydaci mieli nadzieję, że każdego z nich poprze 1300 tys. wyborców Krzysztofa Bosaka. Rozpoczęły się więc umizgi; obóz zdrady i zaprzaństwa zapomniał o „faszystach”, których miejsce, jak wiadomo, jest w komorze gazowej jakiegoś chwilowo nieczynnego obozu, a obóz płomiennych dzierżawców monopolu na patriotyzm – o „ruskich agentach”, którym w dodatku „śmierdzą onuce”. Pan prezydent Duda ośmielił się nawet buńczucznie zadeklarować, że „dopóki jest prezydentem”, to Polska nie odda Żydom ani guzika. Ale wybory już się odbyły, więc można szczęśliwie zapomnieć i o tamtych umizgach i o obietnicach. Toteż jeszcze w telewizji nie zakończył się wieczów wyborczy, a już się okazało, że „ruscy agenci” wrócili, podobnie jak i „faszyści”, zaś w „The Jerusalem Post” z 14 lipca pan Jonatan Daniels uspokaja organizacje przemysłu holokaustu, że te „antysemickie”, buńczuczne deklaracje pana prezydenta Dudy, to nie naprawdę, że to tylko taka zagrywka gwoli uciulania głosów. Zresztą i bez pana Daniela wiemy, że pan prezydent, podobnie jak i rząd „dobrej zmiany”, w podskokach zrobią wszystko, co każe im zrobić pani Żorżeta Mosbacher, a ona interesuje się nie tylko żydowskimi roszczeniami, ale nawet takimi głupstwami, jak TVN i właśnie z tego powodu niedawno ofuknęła złowrogiego Antoniego Macierewicza, chociaż kto jak kto, ale on był wobec Naszego Najważniejszego Sojusznika semper fidelis. Ponieważ w każdym przypadku trzeba nieubłaganym palcem wskazać winowajcę zarówno porażki, jak i niezbyt wielkiego sukcesu, to nic dziwnego, że na celowniku znalazła się Konfederacja, a ściślej – jej zwolennicy. Okazało się, że połowa głosowała na pana prezydenta Dudę, ale druga połowa – na Rafała Trzaskowskiego. Wszyscy „zachodzą w um z Podgornym Kolą” („Zachodzim w um z Podgornym Kolą, co ciągnie go do naszych dam. Przecież to barachło i chłam! A może oni takie wolą?” – zastanawiał się poeta w nieśmiertelnym poemacie „Caryca i zwierciadło”) dlaczego tak się stało, a tymczasem wyjaśnienie tego fenomenu jest proste, jak budowa cepa. Skoro wśród zwolenników Konfederacji są „faszyści” i „ruscy agenci”, to jasne, że „faszyści” poparli pana prezydenta Dudę, podczas gdy „ruscy agenci” – Rafała Trzaskowskiego. Nawet gorzej, bo na przykład ja postawiłem krzyżyki przy nazwiskach obydwu kandydatów, żeby żaden nie miał krzywdy, a to znaczy, że jestem i „faszystą” i „ruskim agentem” w jednej osobie. Ładny interes!

No dobrze – ale wszystko to nie wyjaśnia rzeczy najważniejszej. Ponieważ wiemy, że na tym świecie nic się nie dzieje bez woli Pana Boga, to konieczne jest postawienie pytania, po czyjej stronie w tych wyborach stanął Pan Bóg? Bo Pan Bóg zawsze stoi po jakiejś stronie, a z reguły jest tak, że na Pana Boga powołują się obydwie strony. Czy słusznie? Oto jest pytanie, na które wielu próbowało odpowiedzieć. Na przykład pewna francuska markietanka, która włożyła się za napoleońska armią, wyjaśniała córce, że „Pan Bóg jest po stronie silniejszych batalionów”. Coś może być na rzeczy, bo nawet Józef Stalin, który, zanim został bolszewikiem, rok spędził w seminarium duchownym, po II wojnie światowej ustanowił medal z napisem: „nasze dzieło prawoje – my pobiedili” (nasza sprawa

słuszna, dlatego zwyciężyliśmy). Oczywiście Stalinowi, jako „nakowemu materialistcie” powoływać się na Pana Boga nie wypadało, ale przecież i on pośrednio powoływał się na autorytet Nieba, wskazując na „słuszność”, jako przyczynę zwycięstwa. Wróćmy jednak do „silniejszych batalionów”. Które są „silniejsze”? Odpowiedzi dostarcza żydowska anegdotka: „Nasi zwyciężają! – Jacy „nasi”? – No, ci, którzy zwyciężają!” Jeśli zatem jakieś bataliony wygrywają, to znaczy, że są „silniejsze”, a skoro są silniejsze, to tylko dlatego, że po ich stronie jest Pan Bóg.

Biorąc pod uwagę te ustalenia można powiedzieć, że w ostatnich wyborach Pan Bóg wprawdzie stanął po stronie pana prezydenta Dudy, ale wsparł go z ociąganiem, bo pan prezydent wygrał w Rafałem Trzaskowskim tylko dwoma procentami. Niemniej jednak wygrał, bo było oczywiste, że Rafała Trzaskowskiego Pan Bóg nie wspomógł, jako że nie tylko sam kandydat pogrążony jest po uszy w sprośnych błędach Niebu obrzydłych, ale w dodatku, wśród jego zwolenników dominowali bezpieczniacy, sodomici, gomoryci i celebryci, których Pan Bóg nie może lubić przede wszystkim z powodu ich snobizmu. Ci ludzie bowiem udają tych, kim nie są, bo panicznie się boją, że wyjdzie na jaw, iż jeszcze niedawno – jak mówi poeta – „srać chodzili za chałupę”, toteż wylażą ze skóry, by nie padło na nich posądzenie, że nie są „nowocześni” i w ciemno żyrują każde głupstwo, byle było „postępowe”. Tymczasem w Królestwie Niebieskim jest inaczej. Niewiele wprawdzie o nim wiemy, prawdę mówiąc – tyle, co nic – ale jedno wiemy na pewno; że tam nigdy nie było, nie ma i nie będzie żadnych reform. Nic więc dziwnego, że na widok postępaków Pan Bóg może doznawać mdłości, zatem trudno wymagać, żeby w tej sytuacji stawał po ich stronie. „Stąd dla żuka jest nauka”, by nie spieszyć się z tym postępem, nawet jeśli z tego powodu dama i pisarka Manuela Gretkowska opuści ojczyznę i będą nas wytykać palcami w Paryżu.

No dobrze, ale jeśli Pan Bóg nie chciał stanąć po stronie Rafała Trzaskowskiego, to dlaczego tak powściągliwie wsparł pana prezydenta Dudę? Tego, ma się rozumieć, nie wiem, bo niezbadane są wyroki Opatrzności, ale skoro już jesteśmy skazani na domysły, to nie żałujmy sobie i się domyślajmy. Ja na przykład domyślam się, że przyczyną powściągliwości Pana Boga mogła być okoliczność, że sztab pana prezydenta Dudy w swojej propagandzie posługiwał się metodą szantażu moralnego. Polegał on na tym, że w imię miłości Ojczyzny trzeba było poświęcić własny interes partyjny, dla „interesu państwowego”, to znaczy – dla partyjnickiego interesu Prawa i Sprawiedliwości. Myślę, że taki łajdacki szantaż moralny nie mógł się podobać Panu Bogu i dlatego, chociaż w swoim miłosierdziu dopuścił do zwycięstwa pana prezydenta Dudy, to tą minimalną przewagą udzielił nie tyle może jemu, co Naczelnikowi Państwa i wynajętym przez niego propagandzistom, poważnego ostrzeżenia, że Jego cierpliwość jest już na wyczerpaniu.

A skąd mi porzyszło do głowy postawienie tego pytania? Przyszło mi ono na widok fotografii ołtarza wystawionego w Krzeszowicach z okazji procesji Bożego Ciała. Nad tym ołtarzem górował banner zachęcający do głosowania na pana prezydenta Dudę, co stwarzało wrażenie, jakby do takiego wyboru zachęcał sam Pan Jezus. Nie wiem, czy było to z Panem Jezusem skonsultowane – ale jeśli nie – to może być druga przyczyna takiego powściągliwego poparcia Pana Boga dla batalionów pana prezydenta Dudy.

Stanisław Michalkiewicz

Spór o różnicę łajdactwa

W miarę postępów epidemii zbrodniczego koronawirusa coraz lepiej możemy poznać naturę i przedmiot walki politycznej w naszym bantustanie, do której wciągane są coraz to nowe środowiska. Przybiera ona bowiem postać licytacji o różnicę łajdactwa. Znakomitego przykładu dostarcza „afery maseczkowa”: „jak wy tak, to my tak!”

„Gazeta Wybocza”, kierując się mądrością etapu, zdemaskowała prof. Kamila Zaradkiewicza jako sodomitę i drugsmena, nie bacząc na zastrzeżenia ze strony sodomitów, że jakże tak można. Najwyraźniej sodomici nie czytali Woltera, który przecież napisał, że „kiedy Padyszachowi wiozą zboże, kapitan nie troszczy się, jakie wygodę mają myszy na statku” i stąd ich zdumienie na widok pryncypialnego oburzenia pana red. Michnika, który na co dzień występuje nie tylko jako unus defensor sodomiae, ale nawet jako protektor i promotor tej dewiacji, dla niepoznaki określanej mianem szlachetnej „orientacji”.

W odpowiedzi na to rządowa telewizja zaczęła wyciągać tak zwane „wstydlive zakątki” panu Rafałowi Trzaskowskiemu, którego Wielce Czcigodny poseł Pupka, kiedy już w jakiś sposób zmłotował posagową Małgorzatę Kidawę-Błońską by zrezygnowała, wytrzepał z rękawa, jako kolejnego „najlepszego” kandydata na prezydenta. Ciekawe, ilu najlepszych kandydatów Wielce Czcigodny poseł Pupka jeszcze wytrzepie ze swego rękawa, bo widać, że jego potencjał wynalazczy nie zna granic.

Ale to jeszcze nic, bo do licytacji tych wszystkich prezydentów zdążyliśmy się już przyzwyczaić, w porównaniu z bombą z opóźnionym zapłonem, którą na uroczystość setnej rocznicy urodzin Jana Pawła II odpalili panowie bracia Sekielscy. Chodzi oczywiście o pedofilie wśród księży-sodomitów, co panowie bracia nieopatrznie w swoim filmie pokazali, a co potwierdził przewielebny ks. Tadeusz Isakowicz-Zalewski, mówiąc o „ławendowej mafii” i „rzymskiej chorobie”. Tę niestaranność nieubłaganym palcem wytknęli panom braciom Sekielskim tubylczy sodomici, oskarżając ich o „tendencje inklinacyjne” w postaci „homofobii” i w ogóle.

Być może dlatego tak szybko doszło do przyćmienia show panów braci Sekielskich przez Kazika Staszewskiego, który napisał piosenkę, to znaczy – przebój o dwóch bólach: „ten ból jest twój – ten mój; ktoś nas tu robi w... bambuko...” – i tak dalej. Ścisłe kierownictwo trzeciego Programu PR umieściło też przebój na czele „listy przebojów”, na co ścisłe kierownictwo III programu PR, unieważniło ludowe głosowanie pod pretekstem, że zostało ono zmanipulowane. Jeszcze raz potwierdziło się spiżowe spostrzeżenie klasyka demokracji Józefa Stalina, że nieważne, kto głośnie, ważne – kto liczy głosy. W tym przypadku głosy policzyło ścisłe kierownictwo programu trzeciego, więc w tej sytuacji nie mało innego wyjścia, jak demonstracyjnie opuścić tę rozgłośnię, co przyszło mu tym łatwiej, że na mieście krążą fałszywe pogłoski, jakoby lada dzień ruszyło konkurencyjne radio Nowy Świat, gdzie excules znajdują przytulisko. Ciekawe, czy ta nowa rozgłośnia też będzie korzystała, jeśli nie z rządowych, to jakichś nierządnych subwencji, czy też będzie – jak powiadają bywalcy Rynku Bałuckiego w Łodzi – „na własnym życiu”. W tym drugim przypadku może być trudno zwłaszcza, że na rządowym wikcie każdy nabiera przyzwyczajenia do pewnego luksusu, więc kiedy trzeba będzie wydłubywać kit z okien, liczba płomiennych bojowników o wolność słowa może gwałtownie stopnieć. Na razie jednak, dopóki nie padła salwa, wszyscy demonstrują postawę buńczuczną.

Po emisji filmu panów braci Sekielskich podniosły się nader krytyczne głosy przeciwko duchowieństwu, z których można

było wydestylować obraz tego środowiska jako hordy dotkniętej priapizmem, która dniem i nocą poluje na ofiary płci obojga. Najwyraźniej tedy, w charakterze pierwszego poważnego ostrzeżenia, rządowa telewizja nadała film pana Sylwestra Latkowskiego „Nic się nie stało”, o – jak to określił prezydent Sopotu – „kurwidółku” ukrywającym się pod patetyczną nazwą „Zatoka Sztuki”. Ta nazwa nie jest jednak tak całkiem bezpodstawna i to z dwóch powodów. Po pierwsze różne sztuki, w dodatku z udziałem małoletnich panienek, rzeczywiście się tam wyprawiały, a po drugie – sztuki te odbywać się miały w obecności celebrytów, którzy sami pragną uchodzić za „ludzi sztuki”. Czy oni też te wszystkie sztuki wyprawiali – tego z filmu dowiedzieć się nie można, bo pan Latkowski z dziewcząt poddawanych tam tak zwanemu „lansowaniu” („a potem lansował mnie przez dwie godziny”) niewiele wycisnął poza tym, że korzystały one z tak zwanego „sponsoringu”.

I znowu musimy tu oddać sprawiedliwość Józefowi Stalinowi, który przywiązywał wielką wagę do językoznawstwa. Pani Blanka Lipińska, autorka pornograficznych powieści, którą pan Latkowski w swoim filmie pokazał, wyjaśniała swoją obecność w „Zatoce Sztuki” wykonywanym tam zajęciem „menażerki nocnego klubu”. Nawet nie wiedziałem, że takie słowa są, bo jako człowiek starej, bądź co bądź, daty pamiętam, że kiedyś osoba zatrudniona na takim stanowisku nazywała się „bajzelmamą”, no ale i czasy się zmieniają i nazwy też – co sokolim wzrokiem spenetrował właśnie Józef Stalin.

Oglądając film pana Latkowskiego nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że stanowi on pierwsze poważne ostrzeżenie dla tych wszystkich celebrytów, żeby się opamiętali nie w tym sensie, by zrezygnowali z uprawiania wspomnianych sztuk z panienkami, tylko żeby przestali nieubłaganymi palcami wytykać zamięłowanie czy nawet zapamiętałość do sztuki innym, a zwłaszcza osobom i środowiskom wskazanym im przez Sanhedrym i Salon jako polityczni przeciwnicy.

„Nikt nie jest bez grzechu wobec Boga, ani bez winy wobec cara” – zdawał się mówić pan Latkowski – w związku z tym nie podskakujcie, tylko róbmy sobie na rękę zgodnie z zasadą *Leben und Leben lassen*. Utwierdziłem się w tym przekonaniu zwłaszcza po wysłuchaniu „debaty”, podczas której pan Latkowski imiennie wywoływał celebrytów do opamiętania. W takiej sytuacji nie mieli oni innego wyjścia, jak zapowiedzieć wytoczenie panu Latkowskiemu procesów. Pierwszy oznajmił o tym pan Kuba Wojewódzki, o którym myślałem, że odkorkowuje panienki już dojrzałe, a tu proszę! Jak mówią wymowni Francuzi – „l'appetit vient en mangeant”, co się wyklada, że apetyt rośnie w miarę jedzenia.

Rzecz w tym, gdzie te wszystkie procesy będą się toczyły. Jeśli celebrytom uda się załatwić, by toczyły się one przed sądami znanego na całym świecie z niezawisłości gdańskiego okręgu sądowego, to wygraną mają w kieszeni, chyba, że przezorny pan Latkowski najważniejsze sprawy ukrywa jeszcze w rękawie, zgodnie z zasadą „wiem, ale nie powiem”. Bo z filmu wynika, że funkcjonariusze tamtejszej prokuratury pobierali część zysków z cudzego nierządu w naturze, podczas gdy o sposobach stosowanych ad captandam benevolentiam niezawisłych sądów w znanym na całym świecie z niezawisłości gdańskim okręgu – cy! – wobec czego nie wiemy, czy w gotówce, czy w naturze. Jak tam było, tak tam było, zawsze jakoś było, bo jeszcze nigdy tak nie było, żeby jakoś nie było – mawiał dobry wojak Szwejk – toteż nic dziwnego, że niezawisłe sądy, jak dotąd, potraktowały bohaterów skandalu nader pobłaźliwie.

Stanisław Michalkiewicz

PRL to nie czarna dziura?

JAK PRZEZ LATA (NIE)DZIAŁAŁ PION ŚLED CZY INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ I JAK (NIE)ŚCIGAŁ KOMUNISTYCZNYCH ZBRODNIARZY – OPOWIEM NA PRZYKŁADACH. OSTATNIO POWRÓCIŁO PYTANIE: CO Z NIM ZROBIĆ, CZY PO 21 LATACH ISTNIENIA DA SIĘ ZREFORMOWAĆ, CZY NALEŻY GO RACZEJ ZLIKWIDOWAĆ A ŚLEDZTWA PRZENIEŚĆ DO PROKURATURY POWSZECHNEJ?

Przypadek pierwszy. Z lakonicznych informacji procesowych można było się jedynie dowiedzieć, że Marian R. jest emerytowanym generałem brygady i prawnikiem. W latach 1956-1968 r. był Naczelnym Prokuratorem Wojskowym. Równoległe do kariery wojskowej pracował w Polskim Związku Piłki Nożnej (1960-1978 wiceprezes; 1978-1981 prezes; w 1960 r. został także wiceprezsem CWKS „Legia” Warszawa), a w latach 1981-1986 w Urzędzie Rady Ministrów. W stan spoczynku przeszedł w 1987 r.

Tymczasem Marian R. to słynny generał Marian Ryba, w stanie wojennym wiceszef Centralnej Komisji do Walki ze Spekulacją oraz przewodniczący Centralnej Komisji Specjalnego Postępowania Porządkowego. 13 grudnia 1981 r. jako specjalny wysłannik tow. gen. Jaruzelskiego poinformował abp Józefa Glempa o zarządzeniach władz. Wcześniej, w latach 1971-1981, w Sztabie Generalnym WP zajmował się „sprawami specjalnymi”, m. in. „problematyką rozbrojenia”. W latach 1969-1970 był w Korei, a w 1973 r. w Wietnamie. Oczywiście należał do PPR, a następnie PZPR.

Mariana R. „ścigał” Instytut Pamięci Narodowej. Oskarżający prokurator IPN wziął pod lupę jego powojenną historię. Bo R. we wrześniu 1945 r. zgłosił się ochotniczo do UB. Po kursach w Centralnej Szkole Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w Łodzi został funkcjonariuszem UB w tym mieście. W styczniu 1946 r. przeszedł do prokuratury wojskowej, pracując w Katowicach, Warszawie, Łodzi i Bydgoszczy. Jako wyjątkowo dyspozycyjny był wyznaczany (obok np. Feliksa Aspisa, Kazimierza Graffa, Henryka Ligięzy, Czesława Łapińskiego, czy Henryka Szweda) do oskarżania w sprawach politycznych – pisze Joanna Żelazko w książce „Ludowa sprawiedliwość. Skazani przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Łodzi 1946-1955): „Zazwyczaj gorliwie wypełniali oni swoje obowiązki, żądając dla oskarżonych wysokich kar. Potwierdzają to sformułowania znajdujące się w stenogramach rozpraw sądowych łódzkiego WSR. Bez długich przemówień, zwięźle, ale stanowczo prokuratorzy wojskowi wnioskowali o „najwyższy wymiar kary”, albo o „surowe i przykładowe ukaranie wszystkich oskarżonych”.

Podczas procesu oddziału żołnierzy antykomunistycznego Konspiracyjnego Wojska Polskiego działających na terenie powiatu sieradzkiego, por. Marian Ryba prosił sąd o wymierzenie kary śmierci dla Władysława Ograbka i najwyższy, lub przynajmniej surowy, wymiar kary dla jego sześciu współtowarzyszy. Żołnierz niepodległości Władysław Ograbek ps. „Łokietek” został zamordowany w październiku 1947 r.

Ryba brał również udział w sesjach wyjazdowych Wojskowego Sądu Rejonowego w Warszawie (często pod przewodnictwem krwawego sędziego Mieczysława Widaja). Nawet za drobne przewinienia wymierzano – w trybie doraźnym – drakońskie wyroki, z karą śmierci łącznie. I tak np. 13 stycznia 1947 r. w Ostrowi Mazowieckiej Ryba oskarżał Władysława Kornelewskiego, ps. „Grunt”, „Orlicz”, żołnierza Narodowej Organizacji Wojskowej

i Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, oraz jego adiutanta Henryka Olczaka, ps. „Lew” skazanych następnie na karę śmierci. Oprawcy wykonali wyrok już następnego dnia – 14 stycznia 1947 r. o godz. 11.00. W ten sposób nawet stalinowskie „prawo” zostało pogwałcone, bo oskarżonym odebrano możliwość wystąpienia do Bieruta o łaskę.

19 listopada 1951 r. w Staroźrebach Ryba żądał najwyższego wymiaru kary dla Edwarda Szałańskiego, żołnierza NZW. Wyrok wykonano 22 grudnia 1951 r. w więzieniu w Płocku o godzinie 21.50.

I choć w stalinizmie Ryba podlegał do wielu zbrodni sądowych, Instytut Pamięci Narodowej przyjrzał się tylko stosowaniu przez niego bezprawnych aresztów. I tak pion śledczy IPN oskarżył Mariana R. o jakieś drobiazgi, czyli niedopełnienie obowiązków. Te formalne uchybienia prokuratorskie skutkowały jednak bezprawnym pozbawieniem wolności 17 działaczy niepodległościowych w latach 1951-1954. I właśnie z tych drobiazgów wysnuto wnioski, że R. dopuścił się zbrodni komunistycznej, będącej jednocześnie zbrodnią przeciw ludzkości. W ten sposób prokurator IPN Małgorzata Kuźniar-Plota żądała dla stalinowskiego prokuratora kary trzech i pół roku więzienia.

Jak się zakończył proces Mariana R.? Został oczywiście umorzony. Na nic zdały się argumenty prokurator IPN, która przekonywała, że jako wykształcony prawnik R. był świadomy zarówno bezprawności swoich działań jak i tego, że były one w okresie stalinowskim powszechne – służyły represjonowaniu przeciwników politycznych.

Przypadek drugi. Wiktor Leszkowicz – były zastępca Józefa Goldberga-Różańskiego, czyli wiceszef Departamentu Śledczego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Mimo ogromu zbrodni, IPN oskarżył Leszkowicza (tym razem sąd pozwolił podać opinii publicznej nazwisko) tylko o jedną, choć bardzo ważną sprawę – bezprawne pozbawienie wolności i nieuzasadnione przedłużanie aresztu Józefa Stemlera – wiceministra informacji Delegatury Rządu na Kraj.

Wiktor Leszkowicz do bezpieki wstąpił we wrześniu 1944 r., w wieku 26 lat. Członek PPR i PZPR, absolwent kursu NKWD w Kujbyszewie, podpułkownik LWP. Funkcję wicedyrektora Departamentu Śledczego MBP pełnił od 15 listopada 1951 r. do 8 kwietnia 1954 r. W tym okresie dopuścił się wielu przestępstw wobec polskich niepodległościowców przetrzymywanych w katorżnicy przy ul. Rakowieckiej w Warszawie.

Kiedy w czasie przerwy w procesie Leszkowicza, spytałem prokuratora IPN, dlaczego ściga oprawcę tylko za przekroczenie obowiązków – do tego w wybranych sprawach, a nie za bezmiar zła: nadzorowanie tortur i zbrodni, odpowiedział lapidarnie: nie możemy uznać PRL-u za czarną dziurę. Udział w zbrodni nie jest zbrodnią. Nawet stalinowcy działali w ramach „prawa” i możemy ich ścigać tylko, jeśli to „prawo” złamali. Jaki z tego morał: „praworządna” III RP uznaje system narzucony Polsce przez komunistów siłą – za legalny.

Przypadek trzeci. Ryszard Mońko, zastępca naczelnika więzienia mokotowskiego ds. politycznych, w najbardziej mrocznych, stalinowskich czasach. Był ostatnim żyjącym uczestnikiem zbrodni na Witoldzie Pileckim. Mońko zarządził egzekucję rotmistrza, następnie brał w niej osobiście udział i zapewne pojechał później z jego szczątkami na „Łączkę”. Mimo to prokurator Instytutu Pamięci Narodowej do końca utrzymywała, że Mońko... nie przeprowadził żadnych czynności w sprawie polskiego bohatera.

Przypadek czwarty. Inny morderca rotmistrza Pileckiego –



prokurator Czesław Łapiński – został oskarżony przez IPN tylko dlatego, że podczas procesu ochotnika do Auschwitz i jego świadków w marcu 1948 r. przed Wojskowym Sądem Rejonowym nie dopatrzył, iż sądził niewłaściwy skład (zamiast dwóch ławników był tylko jeden). Sam fakt, że Czesław Łapiński podżegał do mordu sądowego na rotmistrzu, świadomie dążąc do wyeliminowania niewinnego człowieka tylko dlatego, że był przeciwnikiem politycznym, dla systemu prawnego III RP nie mogło być punktem wyjścia.

Wnioski? Przez ponad 30 lat wolnej Polski nie udało się osądzić żadnego sędziego ani prokuratora, którzy w czasach stalinowskich skazywali polskich patriotów, choć prawo zakwalifikowało ich czyny jako komunistyczne zbrodnie sądowe i zbrodnie przeciwko ludzkości. Jeśli w ogóle postawiono im zarzuty, nie ponieśli żadnych konsekwencji karnych. Przepraszam, jeden sędzia został skazany, ale wyrok ten został uchylony. Pozostałych sądy – mimo twardych dowodów – uniewinniły albo umorzyły ciągnące się latami sprawy z powodu “braku ustawowych znamion przestępstwa” lub śmierci oskarżonych. Niektóre procesy zawieszono na czas nieokreślony lub zwrócono akta do uzupełnienia. Jeden z sądów w ogóle odmówił rozpatrzenia sprawy... To wszystko działo się przy udziale, bardzo często bierności pionu śledczego IPN.

W tej sytuacji wielkim sukcesem jest kilka wyroków na stalinowskich śledczych. Ale większość z nich zostało skazanych w jednej sprawie: słynnym procesie Adama Humera w 1996 r.

Jaki jest powód stosowania podwójnej miary w ściganiu stalinowców – skazywania śledczych, a pobłażliwości dla sędziów i prokuratorów. Trudno nie zauważyć zawodowej solidarności ludzi w togach, by wskazać najbardziej rażący przykład uznania przez współczesnych sędziów, że stalinowskiego sędziego Stefana Michnika do dziś ma chronić immunitet sędziowski. Bo dla dzisiejszych sędziów i prokuratorów (w tym prokuratorów IPN) zbrodniarzem jest tylko ten, który bije, kopie i topi w wannie, ten, który strzela w tył głowy. Nie chcą „uwierzyć”, że pozbawić kogoś życia można również na drodze – wydawałoby się legalnej – procedury sądowej. I że robili to przed kilkudziesięciami laty ich kole-dzy. Bo za stalinowskie zbrodnie tak jak „oficer” śledczy Adam Humer odpowiedzialna jest np. prokurator Helena Wolińska, która “tylko” wydawała nakazy aresztowania. Ale w efekcie – jako

jeden z trybów aparatu represji – przyczyniła się do stracenia jednego z największych bohaterów Polski Podziemnej, gen. Augusta Emila Fieldorfa „Nila”.

Prawda jest taka, że w III RP nawet najbardziej „zasłużeni” zbrodniarze nie byli ścigani za zbrodnie, a tylko za przekroczenie kompetencji. Nawet Jaruzelski nie usłyszał zarzutów z tytułu wprowadzenia w PRL stanu wojennego, tylko dlatego, że przy tym wprowadzaniu złamał „prawo” – Rada Państwa nie mogła o tym decydować, bo obradował Sejm PRL.

Prawo wolnej Polski musi zatem przyjąć zasadę, że cały powojenny system był bezprawny. Bo przecież nie może być legalnym system, który został – powtórzmy – narzucony Polsce. Narzucony przez uzurpatorów, bo komuniści nigdy nie zostali przez Polaków wybrani, bo w latach 1944-1989 nie odbyły się w naszym podbitym przez Sowietów kraju wolne wybory. Czyli, że PRL był jednak czarną dziurą.

Dopiero, zagłębiając się w te mroczne czasy, widzimy również, jak ta machina zbrodni działała. Widzimy np., że często granice między bandytą w mundurze oficera bezpieczeństwa z pistoletem i pałką, i tym w mundurze sędziego czy prokuratora wojskowego z długopisem i plikiem akt, zacierały się, gdyż ci sami oprawcy występowali w kilku rolach na raz. Np. Waław Krzyżanowski (jeden z morderców Danuty Siedzikówny „Inki”) najpierw prowadził śledztwo, a potem oskarżał przed sądem. Niektórzy sędziowie – jak w sprawach z udziałem Waławego – zabijali (dosłownie) skazanych na sali sądowej. Niektórzy śledczy – jak Tadeusz Szymański czy Mieczysław Wybraniec – wykonywali wyroki. Kto zatem był bardziej okrutny: śledczy, który katował, prokurator, który na tej podstawie oskarżał, czy sędzia, który orzekał?

Oni wszyscy byli katami i tak powinni być traktowani przez prokuratorów i sędziów Rzeczypospolitej. Ale „klimat polityczny” przez większość III RP nie sprzyjał rozliczaniu komunistycznych zbrodni. Dominowały głosy broniące dawny układ, w stylu: „w SB pracowało wielu porządnymi ludźmi”.

I pytanie kluczowe – co na to wszystko pion śledczy IPN? Co z nim zrobić? Czy po 21 latach działania da się zreformować, czy należy go zlikwidować a śledztwa przenieść do prokuratury powszechnej?

Tadeusz Płużański

„Cwane te kobitki”, czyli przepis na biznes

Jesteś mężczyzną. Masz partnerkę – kobietę. Niczym się nie wyróżniasz z tłumu. Zaczynasz kombinować. Eureka! Jesteś kobietą uwięzioną w ciele mężczyzny i wtedy twoja partnerka nie jest już heteronormatywna – cokolwiek to oznacza, ale 100% legalną lesbijką.

Tak para w pełni heteroseksualna – dalej nią pozostając – może dołączyć do środowiska LGBT i zacząć korzystać z parasola ochronnego poprawności politycznej i z „czystym sumieniem” może wszystkich przeciwników nazywać homofobami.

Zaczynasz dalej kombinować. Pora na zmianę imienia. Michał, Michał, Michał, to nie brzmi dobrze. Wiem! Małgorzata, a najlepiej Margot, to tak bardziej europejsko, światowo.

Oczywiście zbieżność imion i pseudonimów nie jest przypadkowa.

Teraz pora na biznes. Media społecznościowe są stworzone do tego. Nazwa „Stop Bzdurom” pasuje idealnie do profilu biznesu.

Mało tego! Jako kobieta uwięzioną w ciele mężczyzny możesz być bezkarnym chuliganem i bandytą. Możesz niszczyć mienie, podżegać do przestępstw czy używać przemocy fizycznej wobec ludzi o innych, nie LGBT, poglądach.

Przypomnę fakty. W lipcu, zgodnie z decyzją sądu wobec aktywisty LGBT płci męskiej, podającego się za kobietę ps. Margot, zastosowano policyjny dozór i poręczenie w kwocie 7 tys. zł. „Margot” został wcześniej zatrzymany przez policję. Postawiono mu zarzuty w związku z czynnym udziałem w przestępstwie przy ul. Wilczej. Zarzucono mu, że 27 czerwca „wspólnie i w porozumieniu z innymi osobami uszkodził samochód marki renault master, poprzez przecięcie opon, pocięcie plandeki, urwanie lusterka, oderwanie tablicy rejestracyjnej, uszkodzenie kamery cofania oraz pobrudzenie pojazdu farbą”. Łączna wartość strat – jak poinformowała prokuratura – wyniosła ponad 6 tys. zł na szkodę Fundacji „Pro-Prawo do Życia”.

Zarzucono mu również, że w trakcie zajścia przewrócił Łukasza K. na chodnik, czym spowodował u niego obrażenia w okolicy pleców i lewego nadgarstka.

Zarzut obejmuje także stosowanie przemocy polegającej na szarpaniu i popychaniu Łukasza K. w celu zmuszenia pokrzywdzonego do zaprzestania nagrywania przebiegu zdarzenia – informowała prokuratura.

W piątek sąd rozpatrzył zażalenie Prokuratury Okręgowej w Warszawie na wcześniejsze postanowienie sądu o braku aresztu dla „Margot”. I aktywista przy asyście innych aktywistów LGBT, posłów lewicy trafił na dwa miesiące do aresztu.

Wróćmy do biznesu. „Jesteśmy Stop Bzdurom - jesteśmy radykalnym, queerowym i feministycznym kolektywem. Działamy na rzecz LGBTQ+ mądrego, wyedukowanego, asertywnego, dzielnego i przede wszystkim sprawczego. Wszystko co tu zrobiliśmy wynika z wkurzenia na okrutne, szkodliwe i nieprzemysłane działania fanatyków.” - piszą o sobie kobieta w ciele mężczyzny i kobieta w ciele kobiety.

Profil Stop Bzdurom organizuje szereg zrzutek. W momencie pisania tego tekstu (lipiec 2020 r. - przyp. red.) na wszystkich zrzutkach tej pary jest ponad 200 tys. złotych i kwoty cały czas rosną.



Nasza redakcyjna koleżanka Monika Moroń tak podsumowała to na Facebooku:

„Czyli tak: Michał Szutowicz (Margot) żył sobie spokojnie w heteroseksualnym związku z Zuzanną Madej. Ponieważ tradycyjne związki są w pewnych środowiskach passe, nie korzystają też z bezkarności i ochrony politycznej postępowych sił Europy, dodatkowo zarobić bez pracy się na tym nie da, Michał ogłosił się „kobietą uwięzioną w ciele mężczyzny” i zmienił sobie imię na Margot a jego partnerka ogłosiła się... lesbijką. I tak, tradycyjna heteroseksualna parka stała się postępowym związkiem osób tej samej płci (!), dokonała wielu sprzecznych z prawem działań i nagłaśnia je w mediach społecznościowych a kasa na zbiórki leje się szerokim strumieniem (ponad 125 tys. i rośnie).

Cwane te „kobitki” :)

Czy jak zacznę mówić do męża „Krystyno” i ogłoszę światu, że jestem mężczyzną uwięzionym w ciele kobiety to też będę mogła bezkarnie napadać ludzi na ulicach, niszczyć ich mienie i obrażać ich przy byle okazji a stadko „pożytecznych idiotów” będzie mi wpłacało pieniądze na konto?

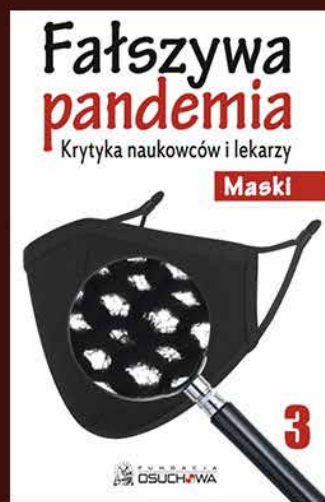
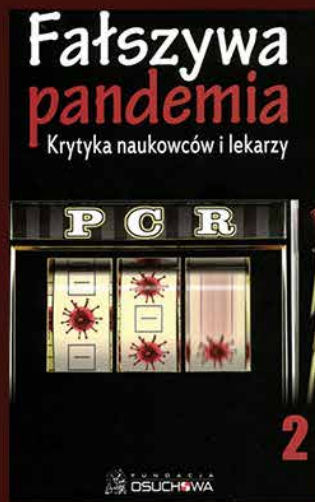
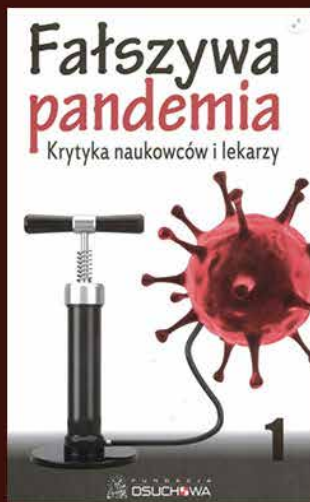
Gdzie coś się popsulo w tej „ewolucji”? ;)

Nic dodać, nic ująć. Pomysł na promocję, biznes, i co najważniejsze, parasol ochronny posłów, europosłów i polityków lewicy przedni. Cwane te „kobitki”.

Na koniec komentarz Sylwii Spurek: To, co się wydarzyło, to łamanie praworządności. Za takie rzeczy rządy państw UE powinny ponosić konsekwencje. To nie był incydent, to zorganizowane, ciągle, celowe łamanie unijnych wartości. Koniec z monitorowaniem, czas na sankcje UE! „Bach, bach, albo wolność, albo strach”.

Pochwała bandytyzmu, ale „naszego, lewicowego” pełną gębą. Żeby nie było, że sędzia, który orzekł areszt to jakiś nominant PiS-owski, to ten sam, który skazał społecznika Jana Śpiewaka. Sam Śpiewak napisał: „Sędzia, który uczynił mnie przestępcą za ujawnienie roli mecenas Górnikowskiej w bezprawnej reprzywatywacji kamienicy, to ten sam sędzia, który przyklepał areszt dla Margot. Tak wygląda przemoc neoliberalnych elit wobec słabszych. Obywatelska reforma sądów potrzeba na wczoraj.”

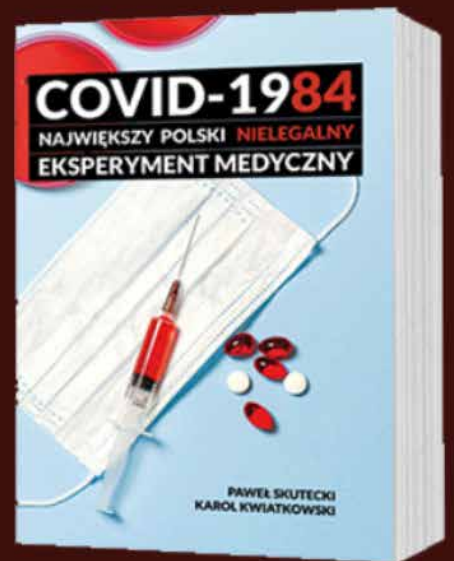
Karol Kwiatkowski



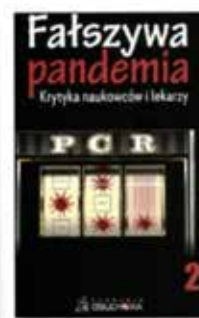
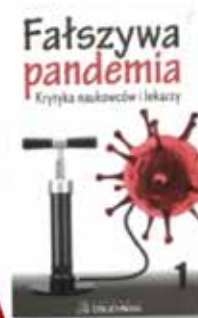
**To nieprawda,
że wszyscy mówią to samo.**

-10%
na cały dział „ZDROWIE”

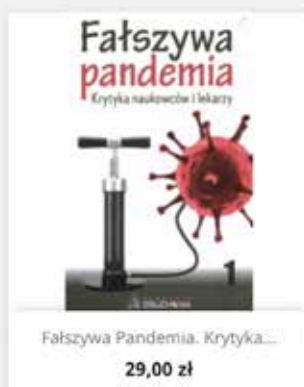
www.sklep.NaszaPolska.pl



**PAKIET
MIESIĄCA**
102,90 zł 80 zł



POPULARNE PRODUKTY



**PAKIET
MIESIĄCA
149zł**

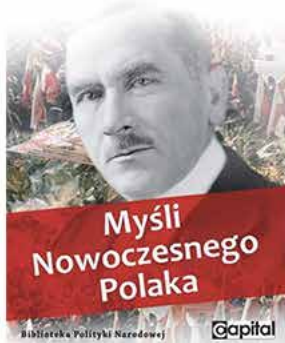


ROMAN DMOWSKI

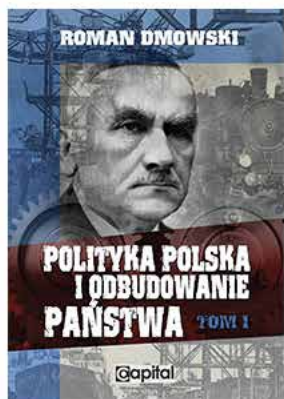
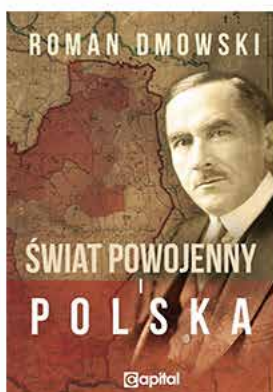
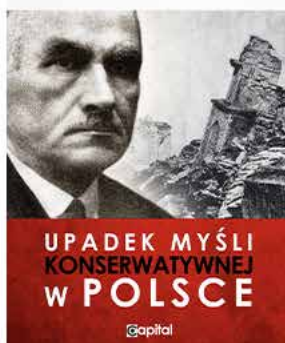
1864-1939

TRZEBA ŚWIAT ZNAĆ I ROZUMIEĆ,
A ŻYCIE SAMEMU URABIAĆ
WEDŁUG WŁASNYCH WYMAGAŃ.

Roman Dmowski

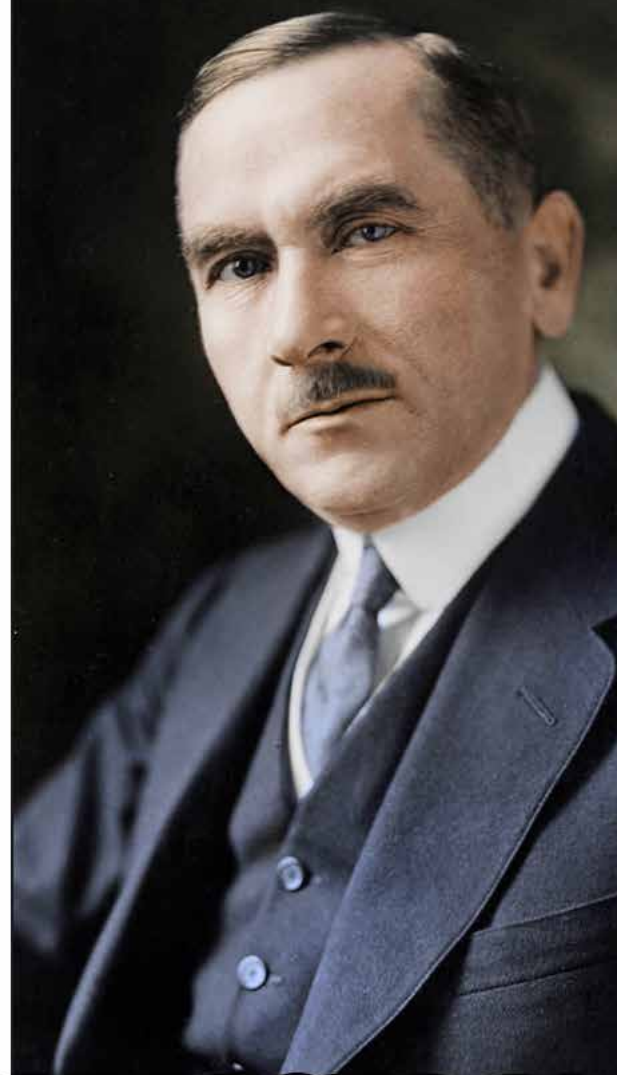
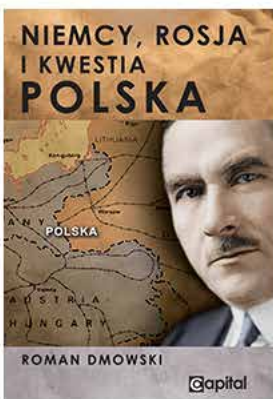


Roman Dmowski



KOŚCIÓŁ, NARÓD I PAŃSTWO

Roman Dmowski



**15 % ZNIŻKI NA WSZYSTKIE DZIEŁA
OD 2 DO 9 STYCZNIA**

HTTP://SKLEP.NASZAPOLSKA.PL